

Zwrot

9
24

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 Kč
WWW.ZWROT.CZ

QAI
TOMASZ WAŁACH



ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1 W Jabłonkowie odsłonięto mural poświęcony Antoniemu Szpyrcowi, pochodzącemu z tego miasta folklorystcie, amatorskiemu historykowi i zbieraczowi. W realizację malowidła zaangażowani byli kapela Lipka, Kongres Polaków w RC, firma Netis oraz miasto Jabłonków. Autor Maciej Szymonowicz przeniósł na ścianę sklepu Fabos jeden z obrazków na szkle autorstwa A. Szpyrcy. Przedstawia on dwie pary – w strojach jackowskim i góralskim – na tle jabłonkowskiego pejzażu. Uroczystość zgromadziła mieszkańców regionu oraz gości z Polski i Słowacji. W trakcie imprezy ogłoszono licytację dzieła Szpyrcy, z której dochód wspomże Stowarzyszenie *Nigdy nie jesteś sam* oraz Fundusz Rozwoju Zaolzia. ▼



2-4 W Jabłonkowie odbyły się Międzynarodowe Spotkania Folklorystyczne *Górolski Świątko*. Tradycyjnie wystąpiły tu zespoły, kapela i gawędziarze z Zaolzia i spoza regionu (m.in. z Polski, Moraw, Słowacji, Litwy czy Chorwacji). Piątkowy wieczór uświetniło widowisko autorstwa Władysława Niedoby pt. *Zabijaczka* w wykonaniu członków Chóru Męskiego *Gorol*. W sobotę widzów zachwycił m.in. Tomáš Kočko & Orchester, który wystąpił razem z Wojskowym Zespołem Artystycznym *Ondráš*. Tradycyjny niedzielny występ chórów *Melodia i Gorol* wzbogaciła swym śpiewem Natalia Niemen. Z imprez towarzyszących wymieńmy seminarium etnograficzne na temat kultury ludowej Wila-mowic, literacką *Kawiarenkę pod Pegazem* prezentującą monografię Gustawa Morcinka autorstwa Libora Martinka. W sobotę odbyły się bieg przełajowy *O dzbanek mleka* oraz pieszy rajd *O kypce Macieja*. W niedzielę mecz piłki nożnej *Gorole – Dolanie* zagrała drużyna *Orly Zaolzia*. W oba dni można było wziąć udział w pokazach i warsztatach rzemiosła *Štikowne Gorolski Rynce*, dzieci mogły odwiedzić Strefę Dziecka. Wydarzeniu towarzyszyła też wystawa zdjęć *Folklove* poświęconych zespołom *Zaolzi i Zaolziček*. ▼



3 Pod Pomnikiem Tragedii Żywocickiej odbyło się spotkanie upamiętniające 80. rocznicę egzekucji 36 mieszkańców Żywocic i okolicznych wsi przez nazistów niemieckich. W ceremonii wzięli udział przedstawiciele władz miasta Hawierzów i województwa morawsko-śląskiego, przedstawiciele polskich organizacji oraz rodziny ofiar. Katolicki ksiądz Jiří Klus oraz ewangelicki pastor Janusz Kożuszniak, wspólnie zapalili pod pomnikiem ku pamięci ofiar zniczy. Następnie jako symbol wiecznej pamięci spod kaplicy wypuszczono 36 gołębi i w podniosłej atmosferze odczytano wszystkie nazwiska ofiar. Uczestnicy aktu żałobnego złożyli pod pomnikiem kwiaty. Wartę honorową pełnili żołnierze Wojewódzkiego Dowództwa Wojskowego w Ostra-

wie, harcerze oraz junacy. Całą uroczystość swoim śpiewem uświetnili Michal Braganolo, solista Opery Teatru Narodowego w Pradze, Oldřiška Honosová, pedagog Podstawowej Szkoły Artystycznej B. Martinů oraz Władysław Czepiec. Ceremonię zorganizowało miasto Hawierzów we współpracy z Zarządzeniem Głównym Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego oraz Czeskim Związkiem Bojowników o Wolność, Muzeum Ziemi Cieszyńskiej i Czechosłowackim Związkiem Legionistów. Do zebranych przemówił m.in. konsul generalny RP w Ostrawie Stanisław Bogowski. ▼



8 W Bystrzycy odbyły się pierwsze tegoroczne dożynki zorganizowane przez Muzeum i Centrum Informacyjne (MUZ-IC). Uczestnicy mogli zobaczyć tradycyjne obrzędy dożynkowe, przedstawione przez Zespół Folklorystyczny *Łączka*. Josef Ciešlar i Jana Roženkowa jako gospodarze tegorocznych dożynek otrzymali wieniec dożynkowy oraz chleb. Impreza była szczególnie ważna dla seniorów z miejscowego domu seniora, dla których była powrotem do czasów młodości. ▼



9 W Bystrzycy w parku PZKO zorganizowano Strefę Kibica, aby wspierać Marka Grycza, który startował w pięcioboju nowoczesnym na Olimpiadzie w Paryżu. Choć nie awansował do finału, mieszkańcy Bystrzycy, w tym jego najbliżsi, trener i członkowie Centrum Sportowego, mocno go wspierali. Na wydarzeniu obecny był także ojciec olimpijczyka, Roman Grycz. Wójt Roman Wróbel podkreślił, że sam udział w igrzyskach to ogromny sukces. ▼



GALERIA ZDJĘĆ

Dożynki w Gutach, Stonawie, Błędowicach i Oldrzychowicach | 2

ROZMOWA ZWROTU

QAI – rozmowa z Tomaszem Wałachem | 4

REPORTAŻ

Irlandia, która na zawsze pozostanie w moim sercu | 8

ROZMOWA ZWROTU

Kobiecość uwieczniona w sztuce | 10

WSPOMNIENIA

Pamiętnik nauczyciela z Michałkowic. Wspomnienia od najmłodszych lat, cz. 11 | 16

LITERATURA

Petrus Wachenius – poeta i piwo | 21

TEATR

Dobre dzieło | 26

ROZMOWA ZWROTU

Agata Grycz – Rok spędzony w Ameryce nauczył mnie samodzielności | 28

PAMIĄTKA RODZINNA

Izba Tradycji w Nieborach zyskała kolejne cenne archiwalia po Karolu Pawlicy – Samuraju z Nieborów | 32

SPACER ZWROTU

Spacery Zwrotu z prezesami Miejsowych Kół PZKO: Dąbrowa | 36

NASZE KLUBY

Klub Młodych przy Miejsowym Kole PZKO w Boguminie Skrzeczoni | 44

SZANOWNY CZYTELNIKU

Zapraszamy do wsparcia zbiórki publicznej na kontynuację remontu budynku biurowego PZKO przy ul. Strzelniczej 209/28 w Cz. Cieszynie. Dzięki Twojej pomocy będziemy mogli zapewnić nowoczesne i funkcjonalne przestrzenie, które będą służyć wszystkim Polakom na Zaolziu.

DLACZEGO WARTO NAS WESPRZEĆ?

W latach 2018–2023 udało nam się zrealizować wiele ważnych projektów w wysokości 18 500 900 koron. Osuszono budynek, wyremontowano piwnice oraz Klub Dziupła, zmodernizowano pomieszczenia na parterze.

Mimo tych sukcesów, potrzebujemy jeszcze Waszego wsparcia na dalszą część remontu w latach 2024–2025. W planach mamy remont dachu, czwartego piętra, wymianę okien oraz ocieplenie budynku. Przewidywany koszt to 11 000 000 CZK.

Ten budynek stanie się wizytówką polskiej społeczności w Czechach, symboli-

zując naszą jedność, historię i aspiracje.

JAK MOŻESZ POMÓC?

Możesz dokonać wpłaty na nasze konto transparentne:

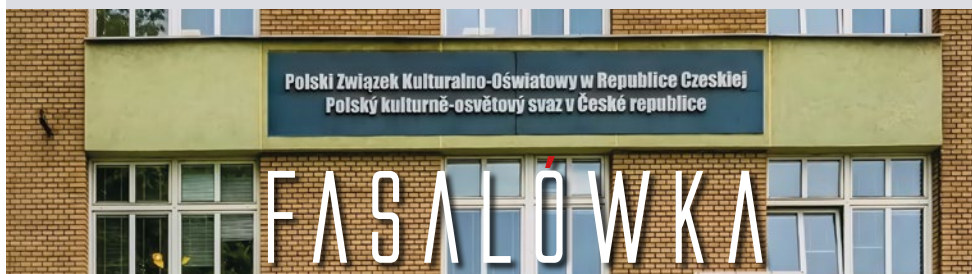
FIO Banka 2602159122/2010

Potwierdzenie o wpłacie dla celów podatkowych można podjąć w Biurze ZG PZKO.

Wspólnie możemy stworzyć lepsze miejsce dla wszystkich Polaków na Zaolziu.

Dziękujemy za wsparcie! Każda wpłata ma ogromne znaczenie!

Zarząd Główny PZKO



ZBIÓRKA PUBLICZNA

Cel: Remont siedziby ZG PZKO

Czeski Cieszyn, Strzelnicza 209/28

Konto: **2602159122/2010**



QR Płatba

zwrot • cz

RAPORT Z ZAOLZIA

zwrot

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389
rok LXXV, nr 898, IČ 442771,
numer konta: 232992221/0300

Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej.

Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indij@zwrot.cz
Śárka Michalik / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28, Český Těšín (Czeski Cieszyn)

czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn)
tel. i faks: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek

Redakcja obrazu i składu: Studio Matrix / info@studiomatrix.cz

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POCZTA CZESKA, oddział Morawy Północne.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 18 września 2024 • ISSN 0139-6277



MINISTERSTVO
KULTURY



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego



Ministerstwo
Spraw Zagranicznych





DOŻYNKI W GUTACH, STONAWIE, BŁĘDOWICACH I OLDRZYCHOWICACH





ZDJĘCIA: BEATA (INDI) TYRNA, IZABELA ADÁMEK, ALICJA IWANUSZEK



QAI



ROZMOWA Z TOMASZEM WAŁACHEM

ROZMAWIAŁA ALICJA IWANUSZEK, ZDJĘCIA: MARIAN SIĘDLACZEK, ARCHIWUM ZESPOŁU QAI



Zespół QAI, pochodzący z Zaolzia, specjalizuje się w muzyce indie pop, a swoje utwory wykonuje w języku angielskim. Przed nimi wielkie plany na przyszłość, dlatego postanowiliśmy porozmawiać z wokalistą, Tomaszem Wałachem, aby dowiedzieć się więcej o ich muzycznej drodze i zamierzeniach.

Jak zaczęła się Wasza przygoda z muzyką? Co skłoniło was do założenia kapeli QAI?

Nasza przygoda z muzyką rozpoczęła się w 2017 roku, kiedy razem z Pawłem Pilchem zaczęliśmy pisać piosenki – na początku tylko dla siebie. Od samego początku mieliśmy silne pragnienie założenia zespołu z prawdziwego zdarzenia i grania na żywo. Samo tworzenie muzyki i publikowanie jej w internecie nie wystarczało. Chcieliśmy mieć kompletny zespół i koncertować, co udało nam się osiągnąć po czterech latach, w 2021 roku. Nasz pierwszy, premierowy koncert odbył się w kwietniu 2022 roku w kawiarni Kamerlik. Od tamtej pory gramy razem już dwa lata.

Kto was najbardziej inspiduje?

Muszę powiedzieć, że większość inspiracji pochodzi z Anglii, Stanów Zjednoczonych





czy też Australii. Dużo słuchamy zespołu *Parcels* – to australijski band, który przeprowadził się do Europy, by tu rozwijać swoją karierę. Uwielbiam również artystów takich jak Bon Iver, John Mayer, *Coldplay*, *Arctic Monkeys*, *The Kooks*. Inspiracji jest naprawdę wiele!

Jak wygląda proces tworzenia utworów w Waszej kapeli? Kto odpowiada za teksty, a kto za muzykę?

Początkowo tworzyliśmy raczej w dwójkę – ja z Pawłem, perkusistą. Nagrywaliśmy sobie ścieżki sami i je edytowaliśmy. Teraz ten proces jest bardziej zespołowy – każdy z nas ma swój wkład i staramy się wspólnie dążyć do jak najlepszego rezultatu.

Co szykujecie w najbliższym czasie?

Teraz mamy w zespole nowy etap, ponieważ jedziemy *na full*. Nie tylko gramy, ale też nagrywamy. Szykuje się nowa płyta, która ma się pokazać na przelocie lata 2025. Staramy się wydawać single, które będą ją promowały. W czerwcu wydaliśmy nowy singiel *Expectations* i szykujemy kolejny, który ma się pokazać, mam nadzieję, najpóźniej za miesiąc. Będą jeszcze co najmniej dwa single przed wydaniem całej płyty.





Nowy album produkuje Leski. Jak przebiegała współpraca z nim?

Zawsze lubiłem muzykę, którą tworzy Leski. Odkryłem go sześć lat temu i spodobał mi się jako artysta. Choć nie porusza się w naszym stylu muzyki, a raczej folk, pop i dream folk, to jego twórczość bardzo mnie inspirowała. Kiedy zastanawialiśmy się, z kim rozpocząć współpracę, pomyśleliśmy, że fajnie by było nawiązać kontakt z kimś z Polski – mogłoby by nam to pomóc zaistnieć na polskim rynku muzycznym.

Na pierwszej płycie współpracowaliśmy z Esbenem Svanem, producentem z Kopenhagi. To było bardzo fajne, ale współpraca musiała przebiegać zdalnie, więc nie było takiego kontaktu. Wysłaliśmy do niego ścieżki i później czekaliśmy na wersję miks. Współpracując z Leskim, jesteśmy w stanie pojechać za nim do Warszawy i popracować w studio. To daje zupełnie inną dynamikę.

Jak to jest tworzyć muzykę na Zaolziu? Czy czujecie, że region ten ma wpływ na Waszą twórczość?

Zaolzie to dla nas wyjątkowe miejsce, które pozwala nam jednocześnie publikować naszą muzykę zarówno na rynku czeskim, jak i polskim. Chociaż czasami trudno jest

zdecydować, na który rynek skupić się z działaniami promocyjnymi, to uwielbiamy tę różnorodność. Kultura i folklor Zaolzia mają ogromny wpływ na naszą twórczość i sposób, w jaki postrzegamy muzykę. Cieszymy się, że możemy tu mieszkać i tworzyć, otoczeni utalentowanymi muzykami, którzy inspirują nas każdego dnia.

Jakie są Wasze plany na przyszłość? Wiemy już, że pracujecie nad nowym materiałem, ale przygotowujecie się na przykład do jakiegoś koncertu?

Obecnie skupiamy się na tworzeniu nowej muzyki oraz na promocji – robimy wywiady, pracujemy nad nowymi nagraniami. Nie ma-

my zaplanowanych żadnych koncertów publicznych, oprócz kilku występów dla firm prywatnych. Na pewno będziemy planować trasę koncertową z okazji wydania nowego albumu, ale to dopiero w przyszłym roku.

Czy są jakieś konkretne miejsca lub festiwale, gdzie marzy wam się zagrać?

Chcielibyśmy wystąpić na festiwalach takich jak Colours of Ostrava czy OFF Festival w Katowicach. Marzymy również o koncertach na większych europejskich festiwalach, na przykład na Lollapalooza w Berlinie. Na razie koncentrujemy się na naszych występach w Czechach, ale kto wie, co przyniesie przyszłość!





IRLANDIA, KTÓRA NA ZAWSZE POZOSTANIE W MOIM SERCU

TEKST: IZABELA ADÁMEK / ZDJĘCIA: ARCHIWUM IZABELI ADÁMEK

Wszystko zaczęło się w styczniu 2024 roku. Pisałam swoją pracę licencjacką i narzekałam na pogodę oraz krótkie, ciemne zimowe dni. Wtedy wpadłam na pomysł, że byłoby fajnie zaplanować coś większego na lato i wyjechać gdzieś na dłużej, za granicę, gdzie moglibyśmy się po prostu cieszyć życiem i zyskiwać nowe doświadczenia. W ten sposób zrodził się pomysł na wolontariat za granicą, wystarczyło tylko stwierdzić, jak to zrealizować.

Już przez jakiś czas miałam konto na platformie Worldpackers, która oferuje tysiące możliwości wolontariatów na całym świecie. Zaczęłam więc intensywnie szukać opcji, która będzie wydawała się właściwa, aż natknęłam się na ofertę wolontariatu na zachodnim wybrzeżu Irlandii w hostelu surfingowym i od razu wiedziałam, że to jest to, czego szukałam.

OD PLANÓW DO REALIZACJI

Potem wszystko potoczyło się gładko. Razem z moim chłopakiem wystaliśmy

z ogłoszeniem, a kilka dni później mogliśmy wspólnie cieszyć się z pozytywnej odpowiedzi. To mogło oznaczać tylko jedno – przed nami miesiąc spędzony nad oceanem w Irlandii.

Czas szybko mijał, nadeszło lato i nasz termin odjazdu się zbliżał. Nie mogliśmy się doczekać, ale również towarzyszyły nam pewne wątpliwości, czy rzeczywiście nasz wyjazd będzie tak wspaniały, na jaki wyglądał. Kiedy jednak dotarliśmy na miejsce, od razu wiedziałam, że to będzie wyjątkowy miesiąc i szczerze mówiąc, wcale się nie myliłam.

ŻYCIE CODZIENNE W GRUPIE WOLONTARIUSZY

W grupie wolontariuszy było nas sześciu i myślę, że wszyscy zgodziliby się, że byliśmy naprawdę świetnie zgraną grupą. Spędzaliśmy wspólnie każdą wolną chwilę chodząc w góry, surfując, oglądając filmy lub po prostu rozmawiając na różne tematy. Nasza praca nie była trudna i zwykle nie zajmowała nam zbyt dużo czasu. Obejmowała sprzątanie pokoi, pomoc w kuchni i utrzymywanie wspólnych pomieszczeń w czystości. Poza tym mieliśmy mnóstwo wolnego czasu, który mogliśmy spędzać, jak nam się spodobało.



NIEZAPOMNIANE CHWILE NA DESCE SURFINGOWEJ

Coś, co naprawdę mnie zachwyciło, to surfowanie. W ogóle nie spodziewałam się, że aż tak mi się spodoba, ale dla mnie osobiście to był najpiękniejszy sport, jaki

kiedykolwiek wypróbowałam. Kiedy wchodzi się z deską surfingową do oceanu, nagle znikają wszystkie problemy i zostaje tylko człowiek i fale. Właśnie dlatego każda chwila spędzona na desce surfingowej była pełnym przeżyciem teraźniejszości i radości.

Jako wolontariusze, mieliśmy możliwość surfowania prawie codziennie, jeśli warunki pogodowe na to pozwalały. Spędziliśmy więc na desce surfingowej naprawdę dużo czasu, co umożliwiło nam doskonalić nasze umiejętności. Każda kolejna złapana fala budziła w nas wiele pięknych emocji.

MAGICZNA WIOSKA W SERCU NATURY

Każdy dzień spędzony w Irlandii był dla mnie czymś wyjątkowym. Samo miejsce znajdowało się w małej wiosce Killadoon, która była prawdziwą oazą spokoju. Otaczające ją góry i ocean sprawiały, że czułam się naprawdę swobodnie, dostrzegając piękno codzienności.

Całe doświadczenie dało mi naprawdę wiele. Nie tylko piękne wspomnienia, nowe przyjaźnie, ale także nauczyło mnie by zwolnić i cieszyć się tym, co dzieje się tu i teraz. Tak często gnamy w przód nie do-

strzegając jak wiele już mamy. Nasz miesiąc w Irlandii uświadomił mi jak wiele mam, a więc choć smutno mi było pożegnać to miejsce, czułam i nadal czuję ogromną wdzięczność, za to, że mogłam przeżyć coś tak cudownego i wierzę, że to doświadczenie na zawsze pozostanie w moim sercu.





KOBIECOŚĆ UWIECZNIONA W SZTUCE

Maluje obrazy, pisze wiersze, tworzy ilustracje, projektuje odzież i dodatki, a także szyje. W jej sztuce dominują delikatność i kruchość, ale równocześnie odzwierciedla ona siłę wszystkich kobiet. – *Myślę, że na Zaolziu sukces w dużej mierze zależy od szczęścia i znajomości. Przychodzą trudne chwile, ale jeśli ktoś pracuje z sercem, to w końcu jego praca się obroni* – opowiada artystka Paulina Bubík Szotkowská.

TEKST: IZABELA WACLAWKOVÁ / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, PAULINA BUBÍK SZOTKOWSKÁ

Jak rozpoczęła się Twoja przygoda ze sztuką?

Moja pasja do sztuki zaczęła się rozwijać już w szkole średniej, kiedy podjęłam naukę w średniej szkole projektowania ubioru we Frydku-Mistku. Od tego momentu stale angażuję się w różnorodne projekty artystyczne.

Zauważyłam, że zajmujesz się malarstwem, ilustracją oraz projektowaniem mody. Która z tych dziedzin jest Ci najbliższa i dlaczego?

Mam wrażenie, że w moim życiu przechodzę przez różne etapy, które wpływają na to, czemu w danym momencie poświęcam więcej uwagi. Podczas studiów głównie koncentrowałam się na projektowaniu ubioru, jednak równolegle zajmowałam się również malarstwem, ilustracją oraz grafiką użytkową. Trudno mi jednoznacznie określić, która z tych dziedzin jest mi najbliższa, ale zawsze staram się wprowadzać artystyczny element do moich projektów.

Na jakim etapie obecnie się znajdujesz?

Mam małe dzieci, co naturalnie wpływa na moją pracę i sposób, w jaki zarządzam czasem. Obecnie najwięcej uwagi poświęcam malowaniu. Uważam, że szycie i projektowanie odzieży wymaga pełnej koncentracji, co nie zawsze jest możliwe w mojej sytuacji. Oprócz malarstwa pracuję też nad książkami dla dzieci, które czasami konsultuję z moimi dziećmi. Aktualnie skupiam się więc głównie na malarstwie i ilustracji, a także na tematach kobiecych, które często przewijają się w mojej twórczości.

Co masz na myśli, mówiąc o tematach kobiecych?

Chodzi mi o odkrywanie kobiecości, a także o cechy i etapy życia, przez które przechodzi każda kobieta. W mojej twórczości – mam tu na myśli przede wszystkim obrazy – często pojawiają się te kobiece emocje: delikatność, kruchość, ale również siła i wewnętrzna eksplozja, które każda kobieta czasami w sobie nosi.

Jak łączysz różne formy sztuki w swojej pracy? Czy korzystasz ze wspólnych motywów i technik?

Kiedy pracuję nad ubraniami, często maluję na tkaninach lub tworzę własne aplikacje inspirowane organicznymi formami, nawiązując do natury, która inspiruje mnie także w malarstwie. W mojej twórczości ręczne

techniki, jak malowanie czy kolaż, często się przenikają. Nie ograniczam się do jednej techniki – w dużych obrazach łączę akryl, akwarele, pastele, a czasem wprowadzam elementy kolażu. Ostatnio eksperymentowałam z rozrywaniem płótna, co zbliża mnie znowu do pracy z tkaniną, pozwalając na nowe kombinacje kolorystyczne.

Masz swój własny, unikalny styl, którego się trzymasz, czy wolisz podążać za trendami?

Oczywiście, że czerpię inspiracje od innych artystów i z tego, co dzieje się na świecie, bo nie jestem na to obojętna. Jednak nie podążam ślepo za trendami. Raczej idę swoją własną drogą, tworzę to, co lubię i co czuję, zamiast podążać za tym, co jest akurat modne. Jeśli chodzi o moje obrazy, chciałabym być rozpoznawalna, i mam





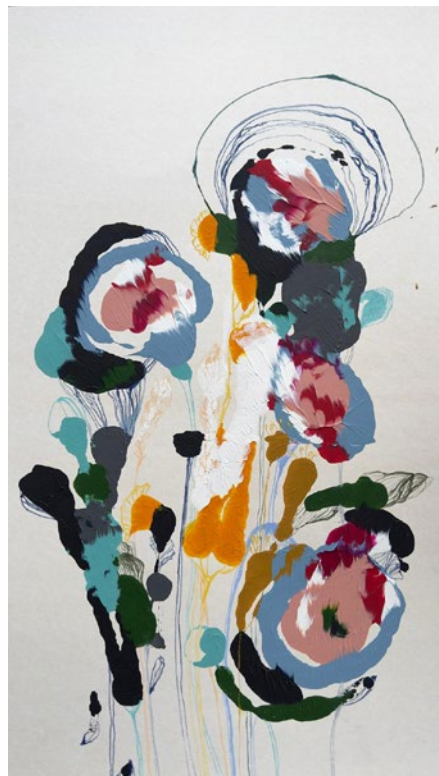
wrażenie, że już zaczynam być. Ostatnio zdarzyła mi się sytuacja, gdy ludzie, którzy widzieli moje obrazy, rozpoznali mnie dzięki temu, że wcześniej widzieli jedną z moich prac u swoich znajomych.

Czy proces tworzenia obrazu i ilustracji bardzo się różni?

Ilustrację typowo książkową mam tylko jedną: *Sękaci ludzie* Karola Piegzy i tutaj proces rzeczywiście się różnił, ponieważ przy ilustracji najpierw musiałam przeczytać całą książkę. Miałam do wykonania dziesięć ilustracji, więc musiałam bardzo dobrze przemyśleć, którą z opowieści zilu-



struję, bo wszystkie były świetne. Natomiast kiedy tworzę własne książki dla dzieci, są one bardziej obrazkowe, a tekstu, jeśli jest potrzebny, dodaję tylko kilka słów. Taki projekt robię od A do Z, więc to trochę inny proces. W przypadku obrazu to zależy – czasami mam jakiś pomysł, emocję lub sytuację, i od razu zaczynam malować. Potem zostawiam obraz na miesiąc, dwa, trzy i dopiero wtedy do niego wracam. Bywa też, że maluję obraz przez kilka dni, a czasami zaczynam od małego pomysłu, maluję coś niewielkiego i czekam. Proces ten jest więc dłuższy.



Czy widz może coś odczytać z twoich obrazów?

Myślę, że tak. Maluję także abstrakcje, ale nie tylko. Wiele moich obrazów przedstawia zarys konkretnych zjawisk i kształtów, a podczas ostatniej wystawy pojawiły się nawet krajobrazy i elementy przyrody. Jednak nie były to tylko obrazy natury – bardziej podróż w głąb ludzkiej natury, odkrywanie zdarzeń, sytuacji, stanów i emocji, z którymi człowiek spotyka się





w życiu. Myślę, że podczas tej wystawy obrazy były dobrze odczytywane. Jestem też mamą, co wpływa na to, że moje ilustracje dla dzieci są bardziej konkretne. W moich obrazach zawsze jest jednak obecny świat fantazji, trochę dadaistyczny i futurystyczny, który się przeplata.

Słyszałaś może o arteterapii?

Słyszałam i jestem jej wielką fanką. Kiedyś myślałam o arteterapii, ale gdy podjęłam się już wielu innych kierunków, nie chciałam rozpoczynać kolejnego. Ten kierunek wiąże się z koniecznością posiadania odpowiedniego wykształcenia. Trzeba mieć oficjalne uprawnienia, żeby robić to profesjonalnie. Prowadziłam kiedyś warsztaty, podczas których uczestnicy wyrażali to, co mają w sobie, a później to wspólnie konsultowaliśmy. Myślę, że to też jest forma arteterapii.

Masz za sobą już kilka wernisaży i projektów. Z którego jesteś najbardziej dumna?

Najbardziej w pamięci mam moją ostatnią wystawę, która różniła się od innych tym, że była częścią projektu ożywiania miasta



oraz tych budynków w Czeskim Cieszynie, które są zapomniane lub nieużywane. Wykorzystałam więc pomieszczenie starego sklepu spożywczego (Hruška – naprzeciw Polskiego Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego), w którym od dawna nic się nie znajdowało.

Czy myślałaś także o innych, może opuszczonych lub zaniedbanych lokalach?

Miałam na uwadze więcej lokali w mieście, ale ten szczególnie przypadł mi do gustu. Pomyślałam, że fajnie byłoby wprowadzić sztukę do miasta w tak bezpośredni sposób. W galerii wiadomo, że przyjdą osoby zainteresowane sztuką lub te, które mają czas do zagospodarowania, ale kiedy człowiek idzie ulicą i natrafi na coś nowego, zwłaszcza w nietypowym pomieszczeniu, może to być interesujące spotkanie ze sztuką. Chciałam udostępnić moją twórczość innym ludziom i umilić codzienność mieszkańcom miasta.

Czy mieszkańcy miasta byli zaciekawieni taką formą prezentacji sztuki?

Nie wiedziałam, jak ludzie na to zareagują, ale okazało się, że bardzo dobrze. Przychodzili nie tylko ci, którzy wiedzieli o wystawie, ale także przypadkowi przechod-

nie, którzy weszli z ciekawości lub tylko zerkali przez witrynę. Było to bardzo sympatyczne. Wiele osób interesowało się również tym, co dzieje się z tym lokalem, co było miłe, ponieważ wykazywali zainteresowanie tym, co dzieje się w mieście oraz, być może, sztuką.

Co jeszcze sprawiło, że ta wystawa była dla Ciebie wyjątkowa?

Wystawa była wyjątkowa również dlatego, że po raz pierwszy zorganizowałam spotkania z komentarzem do obrazów. Ludzie od razu pytali mnie, co dany obraz oznacza. Zorganizowaliśmy trzy takie spotkania, które wcześniej ogłosiłam, i ludzie przyszli. Przeprowadziłam ich przez całą wystawę,



opowiadając o obrazach, i wydaje mi się, że odbiór był bardzo pozytywny. Przyszło dosyć dużo osób, co mnie bardzo cieszy.

Czy było coś, co szczególnie wyróżniało tę wystawę na tle Twojej dotychczasowej twórczości?

Nowością dla mnie było również to, że do tej wystawy napisałam wiersze na ręcznej maszynie do pisania, ponieważ wystawa dotyczyła odbitek, a ja chciałam, aby tekst został naprawdę fizycznie wybity na papierze. W odpowiedzi na liczne pytania ludzi o wydruki tych wierszy, chciałabym ten zbiór wydać.

Jak podchodzisz do współpracy z klientami?

Moja ulubiona forma spotkania z klientem to taka, gdy ktoś przychodzi, widzi mój obraz i od razu chce go kupić. Kiedy ktoś pyta mnie o obrazy, zazwyczaj zapraszam go do siebie, aby mógł zobaczyć je na żywo i wybrać coś dla siebie. Oczywiście, zdarzają się także klienci, którzy na przykład budują dom i podoba im się moja twórczość, ale chcieliby coś innego, dopasowanego do wnętrza. W takich przypadkach staram się, jeśli to możliwe, odwiedzić ich



osobiście, porozmawiać o ich oczekiwaniach, ustalić termin, a później pokazuję efekt mojej pracy. Bardzo cenię sobie, gdy klient daje mi wolną rękę.

Jaki masz przepis na sukces jako artystka, która nie mieszka w centrum dużego miasta?

Trzeba działać, działać i jeszcze raz działać. Myślę, że na Zaolziu sukces w dużej mierze zależy od szczęścia i znajomości. Przychodzą trudne chwile, ale jeśli ktoś pracuje z sercem, to w końcu jego praca się obroni. Oczywiście, czasami sytuacje życiowe mogą prowadzić do porażek, ale wierzę, że każdy ma w sobie pewne predyspozycje, talenty i cechy charakteru, które są mu dane. Prędzej czy później musi więc przyjść mniejszy lub większy sukces.

Nad jakimi projektami aktualnie pracujesz?

Aktualnie pracuję nad moją książką właśnie tych wierszy z wystawy, żeby móc dać ją do druku, staram się złączyć wiersze z ilustracjami. Powoli również dokańczam te książeczki dziecięce, które już długo miałam w szufladzie i zaczynam też trochę działać w sferze mody. Zaczęłam pracować



nad dodatkami dla kobiet no i zobaczą co z tego będzie. I chciałabym też na pewno wystawić taki mały zbiór obrazów z Sycylii.

O jakie dodatki chodzi?

Na razie pracuję nad biżuterią z recyklingu, wykorzystuję różne plastyki, które nagrzewam i eksperymentuję z nimi, dodaje do tego perły i chce z tego zrobić taki delikatny kobiecy dodatek z morską tematyką. Wybrałam też do tego tkaniny, które

zaczęłam malować, i mam zaprojektowane delikatne sukienki. Chciałam zrobić taką sesję w tej morskiej tematyce.

Tworzysz także kalendarze. Możemy spodziewać się nowego kalendarza na rok 2025?

Był to projekt, który realizowałam z moją siostrą, kiedy zaczęłam tworzyć kolaże z jej zdjęć kwiatów. Na rok 2025 miałyśmy zaplanowany nawet notatnik, a może raczej książeczkę, ale nie wiem, czy uda nam się go dokończyć do końca roku. Pozostawiamy to pod znakiem zapytania.

Masz jakieś marzenia na przyszłość?

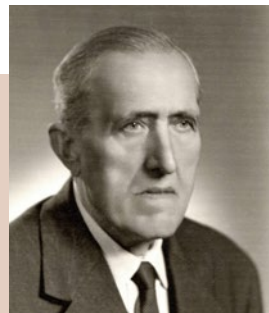
Chciałabym mieć własny sklepik, w którym byłyby również produkty lokalnych twórców i artystów, których jest sporo, ale myślę, że są zapomniani. Uważam, że to byłaby dobra okazja, by ich twórczość zobaczyć i udostępnić. To jest jedno z moich marzeń. Jeśli chodzi o bardziej ambitne cele, to na pewno chciałabym zorganizować wystawę we Włoszech, które bardzo kocham. To są jednak marzenia bardziej odległe, ale wiadomo, że powinniśmy marzyć i spełniać swoje marzenia. A ja jestem wielkim marzycielem i mam ich naprawdę mnóstwo.

PAMIĘTNIK NAUCZYCIELA Z MICHAŁKOWIC. WSPOMNIENIA OD NAJMŁODSZYCH LAT

CZĘŚĆ XI

TEKST: ALOJZY KOŁORZ; PRZYGOTOWANIE DO DRUKU I WSTĘPNA REDAKCJA: SYLWIA GRUDZIŃ.
ILUSTRACJE: MATERIAŁY ARCHIWALNE

Zapraszamy do lektury kolejnej części wspomnień Alojzego Kołorza – nauczyciela urodzonego w 1891 roku, który swoją drogę zawodową rozpoczynał w polskiej szkole w Michałkowicach koło Ostrawy. Spisane w 1962 roku wspomnienia obejmują okres od wczesnego dzieciństwa do końca drugiej wojny światowej. Maszynopis przekazał naszej redakcji Tadeusz Nowak.



DALEJ NA POŁUDNIU

Poprzednie dni żywiłem się na własną rękę. Kawałek chleba, trochę kietbasy – o ile się udało jeszcze gdzie kupić – gotowane jajka, gotowane mleko były całodziennym wyżywieniem. Rano poleciłem gospodyni ugotować odpowiednią ilość jajek dla żołnierzy, kupiłem u niej domowego chleba i poprosiłem o ugotowanie mleka, i śniadanie było gotowe. Koszty wyżywienia pokryłem z własnej kieszeni. Po śniadaniu pojechaliśmy w kierunku Stanisławowa. W Tyśmienicy dowiedzieliśmy się od innej grupy naszych oficerów, że w Stanisławowie są rozruchy w mieście. Ukraińcy napadają na Polaków, a nawet uzbrojone wojskowe bandy Ukraińców napadają na żołnierzy i oficerów polskich. Toczyła się formalna bitwa. Postanowiliśmy nie jechać do Stanisławowa, tylko w kierunku Nadwronej i Delatyna – tym więcej, że dowiedzieliśmy się o zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną, chociaż inni znów twierdzili, że Armia Czerwona maszeruje dopiero na Lwów.

Teraz była już w wojsku taka dezorientacja, tyle było różnych wieści, że nie można było odróżnić, co jest kłamstwem, a co prawdą. Mówiono: *Rząd polski uciekł do Rumunii i tam organizuje na nowo wojsko polskie.* Stojąc tak na rynku w Tyśmienicy, dyskutowaliśmy, co robić. U wszystkich przeważało zdanie, że jednak trzeba jechać w kierunku Węgier, a więc na Nadwroną, Delatyn, Jaremcze. Przy wyjeździe w dalszą drogę ostrzegano nas, żeby iść, względnie jechać, zwartymi grupami, bo małe grupki,

czy też pojedynczy żołnierze i oficerowie przechodzący przez wsie ukraińskie muszą się spodziewać napadu. Zdarzyły się wypadki, że polscy oficerowie, śpiący u chłopa Ukraińca, zostali podczas snu zarżnięci.

Ja również posuwałem się w kierunku Jaremcza. Do Delatyna dobrnąłem w nocy. Ulice ciemne, okna zastonięte, zaciemnione. Udało mi się wejść do restauracji i zjeść kolację. Każdy na własną rękę poszukiwał w mieście jedzenia, a o oznaczonej godzinie mieliśmy się spotkać razem w ratuszu. Gmach ratuszowy był w nocy otwarty, kancelarie otwarte, biurka z aktami wypróżnione. Wszystko wskazywało na to, że biura magistratu miasta Delatyn gdzieś ewakuowano. Postanowiliśmy nocować w budynku ratuszowym, to znaczy

przesiedzieć na krzesłach lub położyć się na podłodze albo też na stołach lub ławkach. Do mnie przyszło kilka osób cywilnych i półszepsem radzili mi nie nocować bez wystawienia posterunków, a jeszcze byłoby dla nas korzystniej jechać porą nocną dalej aż do Jaremcza, gdyż Ukraińcy nocą nie orientują się w ilości wojska, zaś w dzień uzbrojone bandy ukraińskie nawet napadają na mniejsze oddziały wojskowe.

UKRAIŃCY PODPALALI POLSKIE GOSPODARSTWA I NAPADALI NA POLAKÓW

Pojechaliśmy więc nocą dalej do Jaremcza. Po drodze widzieliśmy palące się gospodarstwa polskie. Ukraińcy podpalali pol-



55. DELATYN. Ratusz, 1927.



JAREMCZE. Wodospad

skie gospodarstwa i napadali na Polaków. Jechaliśmy bardzo ostrożnie przez każdą wieś. Nad ranem byliśmy w Jaremczu. Droga była zatarasowana przez nasze furmanki wojskowe, auta ciężarowe, osobowe, a po bokach drogi stało, względnie siedziało lub leżało, wojsko polskie. Czekał na dalsze rozkazy. Było tu sporo pułkowników i innych oficerów sztabowych, a bardzo dużo było poruczników i kapitanów. W końcu dostaliśmy rozkaz pomaszerowania przez Mikulczyn, Tatarów i Przełęcz Jabłonicą na Węgry.

Jeszcze przed wymarszem z Jaremcza padały strzały z gór wprost w nasze wojsko. Mieliliśmy rannych i zabitych. Wystaliśmy patrole wojskowe w góry. Patrole te wkrótce przyprowadziły pierwszych jeńców. Byli to żołnierze i jeden oficer – kapitan narodowości ukraińskiej – w mundurach polskich. Kapitana chcieliśmy zaraz rozstrzelać, ale nie mieliśmy sądu polowego, a tak na własną rękę nie chciano tego robić. Żołnierze ukraińskich puściliśmy wolno, a kapitana Ukraińca zabraliśmy z sobą jako jeńca.

KONIE BYŁY TAK PRZEMĘCZONE, ŻE NA DRODZE STAWAŁY

Teraz jechaliśmy i maszerowaliśmy zwartymi oddziałami na całą szerokość szosy w kierunku Tatarowa. Furmanki wojskowe ciągnęły się kilometrami, a obok nich maszerowało wojsko. Konie były tak przemęczone, że na drodze stawały. Wojsko, które siedziało na wozach, również przemęczone, spało, woźnice także spali, gdyż była to nocna pora. Nieraz całe kolumny stały

w nocy na szosie, a nikt nie wiedział dlaczego, każdy drzemał i czekał, aż cała kolumna ruszy naprzód. Kiedy już ten postój był podejrzany, a do tego rozlegały się strzały w okolicznych górach, wszyscy się nagle przebudzili i każdy krzyczał na wóz, który stał przed nim, dlaczego nie jedzie dalej. Tak dostał się ten krzyk aż do pierwszego wozu, na którym woźnica również spał, chociaż przed nim była wolna droga. Woźnicę obudzono i kilkukilometrowa kolumna ruszyła naprzód w kierunku Jabłonicy.

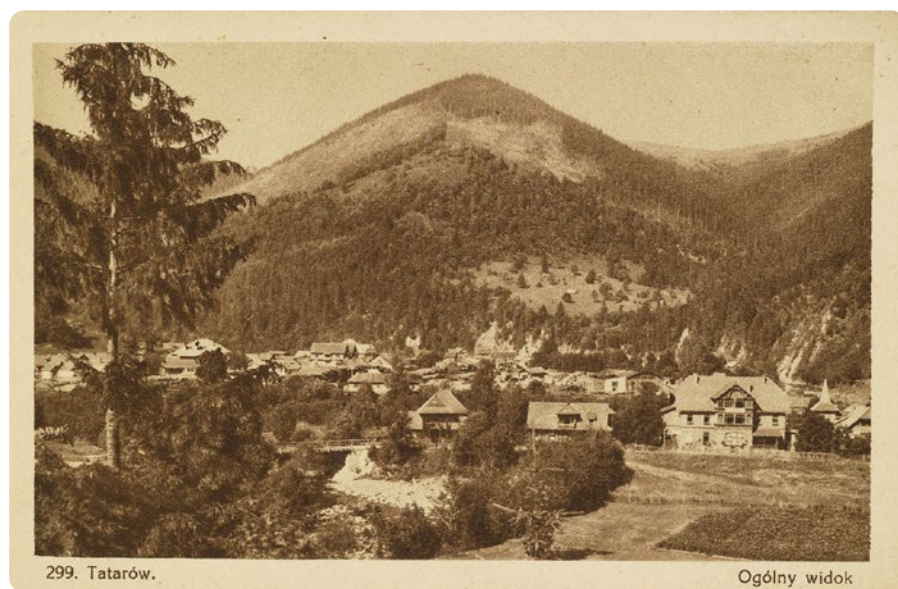
Co robić z kapitanem Ukraińcem, który dowodził partyzantami przeciw wojsku polskiemu? Narada oficerów sztabowych uchwaliła puścić go bezkarnie. Ogłoszono mu, że jest wolny, ale spodziewają się, że jako były oficer zawodowy wojska polskiego nie poweźmie żadnej decyzji przeciwko wojsku polskiemu.

Koło południa przyjechaliśmy ku samej granicy węgierskiej w Jabłonicy. Na przełęczy Jabłonica (931 m n.p.m.) powiewały chorągwie: węgierska i polska. Był tam oddział wojska węgierskiego oraz kilkanaście oficerów węgierskich. Wojsko polskie sukcesywnie składało broń oraz inny sprzęt wojskowy. Nasz oddział czekał na szosie prawie że do wieczora, zanim przyszła na nas kolej do złożenia sprzętu telegraficznego i przejścia granicy. Gdy schodziliśmy z góry w dół zauważyłem auta i armaty powywracane w rowie, a obok leżące zwłoki polskich żołnierzy, którzy ulegli katastrofie. Niejeden żołnierz, będąc już po węgierskiej stronie, myślał, że jest w bezpiecznym miejscu, a tu naraz zaskoczyła go śmierć.

Oficerowie węgierscy pozostawili mi, jako polskiemu oficerowi, broń, to znaczy rewolwer. A więc 20 września 1939 roku w godzinach wieczornych przekroczyłem Przełęcz Jabłonicą i znalazłem się na terenie Węgier w miejscowości Kőrösmező, a po ukraińsku Jasień. Kiedy schodzącem, względnie zjeżdżałem w dół, zaskoczyła mnie burza i przemokłem zupełnie.

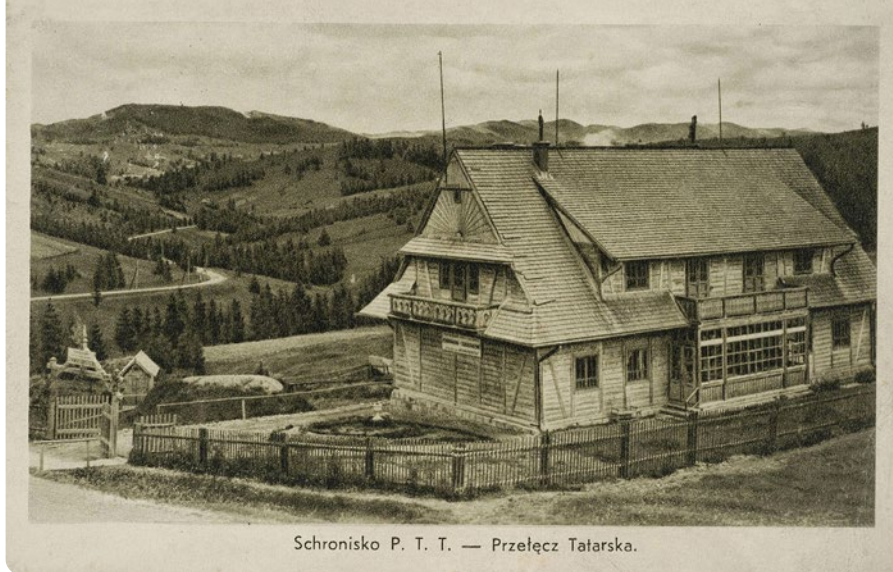
BURZA SZALAŁA W GÓRACH, A DRUGA POTĘŻNA BURZA MYŚLI PRZECHODZIŁA PRZEZ MOJĄ GŁOWĘ

Nie chcę tu opisywać moich wrażeń przy przekraczaniu granicy. Zdawałem sobie jasno sprawę, że Państwa Polskiego chwilowo nie ma, a żona z dziećmi pozostała bez zaopatrzenia materialnego na łasce obcych, zaś mój powrót do domu stał się niemożliwy. Tyle różnych myśli przecho-



299. Tatarów.

Ogólny widok



Schronisko P. T. T. — Przełęcz Tatarska.

dziło mi w jednej chwili przez głowę i to nieraz myśli absurdalnych, których nie umiałem o coś realnego zaczepić. Burza szalała w górach, pioruny biły dookoła, deszcz lał dosłownie jakby wiadrami, a ja schodziłem w dół – a druga potężna burza myśli przechodziła przez moją głowę. Teraz już na nic nie zważałem, miałem pełne buty wody, bieliznę i mundur mokry jakby go z wody wyciągnął, a ja zdążyłem w dół aż doszedłem do wioski Kőrösmező.

We wsi wszyscy rozeszliśmy się po domach. Ja również poszedłem do domu, którym był wiejski sklepik kolonialny. Gospodyni napałała w kuchennym piecu, a ja z drugimi suszyliśmy bieliznę i mundury. Nawet buty zdołaliśmy wysuszyć. Gospodyni ugotowała nam herbaty i czarnej kawy, niczego innego już nie miała, bo wszystko już wydała przechodzącemu wojsku polskiemu. W międzyczasie deszcz przestał padać, nastąpiła gwiazdzista noc i myśmy wyruszyli w dalszą drogę. Maszerowaliśmy szosą wzdłuż szumiącej rzeki Tiszy. Jeszcze tutaj natrafiliśmy w rowach na przewrócone auta i armaty. Były pono również i trupy, te jednak zaraz usunięto. Tak wyglądało wojsko już niezdiscyplinowane, wojsko zdezorganizowane, wojsko, które widziało, że oficerowie nie wywiązały się ze swego zadania frontowego.

Szedłem zamyślony, szedłem jakby wśród obcych ludzi, chociaż byli to nasi żołnierze, szedłem jakby obcy w obcym kraju. W głowie miałem próżnię i pustkę. Nie umiałem myśleć i nie potrafiłem myśleć choćby nawet nielogicznie. Co mi kazano, to robiłem, nie dano mi jeść, nie jadłem, chociaż odczuwałem głód, bo za polskie pieniądze nic nie kupiłem, i nawet w Banku Węgierskim nie chciano już wymieniać polskich pieniędzy. Kazano nam stać na drodze – stałem, kazano nam iść dalej,

poszedłem. Szliśmy przez całą noc, aż rano przyszedliśmy do miasteczka Rahó.

Przeszliśmy jakieś 25 km. Tam dostaliśmy gorącej wojskowej czarnej kawy i kawałek chleba. Wojsko węgierskie bardzo się o nas troszczyło, nie mogło jednak podołać i sprostać ciężkim obowiązkom przetransportowania i wyżywienia takiej masy wojska polskiego (zdaje mi się, przez granice węgierską przeszło sto tysięcy wojska i wielka liczba uchodźców cywilnych). Wojsko węgierskie wyptało nam, oficerom i żołnierzom, po kilkanaście pengő (waluta węgierska).

TE DWA SPOTKANIA POCZĘŁY MNIE NASTRAJAĆ OPTYMISTYCZNIE I WYRWAŁY MNIE Z DEPRESJI PSYCHICZNEJ

W Rahó mieliśmy otrzymać obiad, ale rozeszła się fałszywa pogłoska, że Rumuni chcą napaść na Węgry i zająć miejscowość Rahó. Wojsko węgierskie nie dementowało tej pogłoski i radzono nam pojechać jak najprędzej dalej. Nie czekaliśmy na obiad i pojechaliśmy do Aknaszlatiny. Na drodze do Aknaszlatiny spotkałem węgierskiego dróżnika utrzymującego drogę w należytym stanie. Gdy koło niego przejeżdżałem na furmance, przemówił on do mnie po polsku, a nawet powitał mnie polskim wierszem. Zdziwiłem się bardzo i zapytałem go, gdzie się nauczył po polsku, na co mi odpowiedział: *Przecież ja chodziłem do polskiej szkoły, a i w domu mówiłem po polsku. W końcu mówi do mnie: Nazywam się Pindor, chodziłem do szkoły w Ustroniu i dopiero jako dorosły mężczyzna służyłem na Węgrzech w wojsku i tutaj pozostałem.*

W Aknaszlatynie znajdowały się duże koszary, częściowo opróżnione, aby zrobić dla nas miejsce. Na podwórzu węgierscy

Lengyeltóti



kucharze wojskowi w kilkunastu kottach gotowali dla nas obiad, ledwie wypróżniono kotły, gotowano znów obiady dla nowo przybywających polskich transportów. Gotowano przeważnie gulasz lub paprykarz. Jedzenie było bardzo smaczne i obfite. Wszyscy „wcinali”, czyli jedli jakby słomę do ognia rzucał.

Po dwóch dniach zaspokoilem głód. Mięso dla wojska dostarczał rzeźnik miejscowy i przywoził go do koszar. Jakie było moje zdziwienie, kiedy ten węgierski rzeźnik przemówił do mnie po polsku. Od niego dowiedziałem się, że jest Polakiem, nazywa się Kubica i pochodzi z Bielska ze Śląska Cieszyńskiego, a na Węgrzech przebywa od młodych lat. W Aknaszlatynie osiadł już dawno, córkę wydał za rzeźnika i z nim razem prowadzi rzeźnictwo. Wypytywał się o Bielsko i okolice, i był bardzo ucieszony, że spotkał człowieka ze stron, z których pochodził.

Te dwa spotkania, to jest z Pindorem i Kubicą, poczęły mnie nastrojać optymistycznie i wyrwały mnie z depresji psychicznej. Po dwóch dniach pobytu w Aknaszlatynie przewieziono nas koleją do Beregszászu. Tam przenocowaliśmy. Na drugi dzień formowano z nas transporty wojskowe i kierowano do poszczególnych obozów. Grupa około 11 oficerów była przeznaczona do obozu oficerskiego w Nagyberki. Dodano nam jednego żołnierza węgierskiego, który nas miał transportować przez Budapeszt w kierunku Kaposváru.

OBOZY W NAGYBERKI I LENGYELTÓTI

Z Beregszászu pojechaliśmy pociągiem przez Csop, Miskolc do Budapesztu. Na dworcu Budapeszt Kelenföld dostaliśmy obiad i po jednogodzinnym postoju poje-



chaliśmy do stacji kolejowej Nagyberki. Obok była wieś Mosdós. Była to typowa wieś węgierska. Na skraju wsi znajdowały się duże zabudowania folwarczne z próżnym piętrowym zamkiem, w zamku była piętrowa kaplica zamkowa oraz sala balowa. Zamek przeznaczony był na obóz oficerski. W dwóch pokojach było razem sześć łóżek ze starymi materacami; niektórzy oficerowie musieli leżeć na podłodze. Pozostawiono nas na łasce losu. Posterunek wojskowy stał przed bramą, a drugi posterunek chodził koło ogrodzenia zamku. Wyplacono nam na 10 dni przypadający żołd dla internowanych oficerów po 4 pengő dziennie. Ponieważ w całym zamku było nas chwilowo jakich 15 oficerów, więc obiady jedliśmy w gospodzie w Nagyberki, a śniadania i kolacje gotowaliśmy na maszynie spirytusowej. Nie było z tym wiele trudności.

Na rano jedliśmy gotowane mleko i chleb lub herbatę, gotowane jajka i chleb z masłem, na kolację kiełbasę z chlebem i herbatą, na jedzenie nie mogliśmy więc narzekać. Po jakich trzech tygodniach, skoro nasz obóz w Mosdos się nie powiększył, zlikwidowano nasz obóz, a naszą grupę oficerską przeniesiono do obozu w Lengyeltóti. Ten obóz był już zorganizowany i było w nim około 100 oficerów. Mieścił się również w pustym zamku hrabiowskim. Z początku spaliśmy na podłodze na słomie, a później dostarczono nam prycze, względnie tóżka zbite z desek.

Wiktowaliśmy się we własnym zarządzie. Kuchnia w obozie funkcjonowała różnie. Raz dobrze, drugi raz źle, zależało to od uczciwości danego oficera prowiantowego i od kucharzy. Sami oficerowie w obozie nie interesowali się kuchnią, więc oficer prowiantowy miał dosyć dużą swobodę działania.



W OBOZIE POWSTAŁA PSYCHOZA MELANCHOLII, OFICERÓW OGARNĘŁO PIJAŃSTWO

Co robili oficerowie przez cały dzień? W obozie powstała kantyna, w której sprzedawano wino. Nasi oficerowie, łakomi na wino, chodzili do kantyny i kupowali węgierskim zwyczajem po dwa decylitry (deci) wina, wypili i poszli spacerować na podwórze lub do parku. Ponieważ do sklepu na wieś nie trudno było się dostać, więc każdy oficer kupował na zapas jedno lub dwa wina, przynosił do obozu i pił, i chodził po podwórzu ze spuszczoną głową nieraz niejedną rzewnie płakał. W obozie powstała psychoza melancholii i gdy się tak z boku obserwowało grupki oficerów, to można było zauważyć, że coś nie jest w porządku, przede wszystkim oficerów ogarnęło pijaństwo.

I ja przyzwyczałem się do picia dwóch dl wina po obiedzie, co mi z początku wystarczało, później piłem już dwa razy po dwa dl wina, a nieraz dochodziło do tego, że po obiedzie wypilem cały litr wina i uważałem to za całkiem naturalne. Skoro obniżyłem dawkę wina do 2 dl, to zauważyłem, że czegoś mi brak i znów podwyższyłem dawkę wina, ale przyszedłem do przekonania, iż mogę się stać nałogowym pijakiem. Postanowiłem przeto pić po obiedzie herbatę lub czarną kawę i tym sposobem uchroniłem się od nałogowego pijaństwa, ale stałem się jednak smakoszem dobrego wina i byle winem mnie odtąd nie ugoszczono.

Z czasem pijaństwo w obozie ustało. Oficerowie wyzywali na legionistów, do czego oni Polskę doprowadzili. Coraz częściej w obozie wybuchały polityczne kłótnie. Nie trwały one długo. W Budapeszcie przy Ministerstwie Honwedów, czyli przy węgierskim ministerstwie spraw wojskowych, było przedstawicielstwo wojska polskiego,

które uzgadniało niektóre problemy życia obozowego internowanych polskich żołnierzy i oficerów. Jakoś tak się zdarzyło, że w każdym obozie najwyższy rangą oficer był byłym legionistą i ten, prawdopodobnie dostawszy instrukcje z góry, chciał wśród oficerów zaprowadzić żelazną dyscyplinę. Były więc ranne apele, wykłady wojskowe oraz ćwiczenia z karabinami. Ponieważ karabinów nie mieliśmy, musieliśmy ćwiczyć grubymi patykami długości karabinów. Ponieważ ten system nie bardzo chwycił, nastąpiło przegrupowanie oficerów w niektórych pokojach, ale zawsze tak trafiło, że najstarszy stopniem oficer w pokoju był zaufanym polskiego komendanta, czyli starszego obozu.

Starszy obozu ustanowił polskiego oficera pocztowego, który odbierał naszą korespondencję wysyłąną do kraju, a potem oddawał do węgierskiej komendy obozu, odbierał również przychodzącą do obozu, korespondencję. Potajemnie utworzono polską cenzurę obozową listów wysyłanych i przychodzących. Czyli oprócz niemieckiej cenzury mieliśmy cenzurę legionową. Tak wytworzono w obozie psychozę podejrzliwości i piętno szpiegów na tych, którzy odważyli się coś na legionistów powiedzieć.

WINOBRANIE

Życie w obozie płynęło monotonna, ale czasami mieliśmy pewną odmianę. Zgłosiliśmy się jesienią do chłopów do pomocy w winobranii. Tak jak u nas w Polsce obchodzi się uroczystością dożynki, to na Węgrzech obchodzą uroczystość winobrania. Dwa razy miałem możliwość wziąć udział w winobranii. Pierwszy raz w Lengyeltóti, a drugi raz w Vámosmikola. Kilku nas, oficerów, przyrzekło gospodarzowi przyjść pomóc mu zbierać winogrona. Gospodarze w Lengyeltóti na



dużej części swych pól uprawiali winorośl, a na inne ziemiopłody, jak np. zboże, kartofle itd., pozostawiali mniej pola.

Gospodarz zaprowadził nas do swojej winnicy, dał nam wiadra na winogrona i duże niecki, do których wsypywaliśmy zebrane winogrona i odnosili do zabudowań gospodarczych. Z początku niewiele obieraliśmy, tylko jedli i jedli winogrona, wybieraliśmy oczywiście najpiękniejsze winogrona. Gospodarz się tylko uśmiechał i zachęcał do jedzenia, a myśmy jedli i jedli. Nareszcie mieliśmy dosyć i zaczęliśmy obierać winogrona, wsypywać do koryta, a dwóch innych nosiło pełne koryta do osobnego domku, składającego się z jednego czy też dwóch pokoi i piwnicy.

Były tam ustawione duże kadzie, mniej więcej 1,20 m wysokie, każda o pojemności kilkunastu hektolitrów. Na brzegu kadzi była umocowana maszynka do wygniatańcia winogron. Czysty sok spływał do kadzi, a wytloki odchodziły na bok do osobnego naczynia. Gospodarz nalał mi soku z winogron do półlitrowej szklanki i prosił mnie, żebym go wypił. Bardzo mi ten sok smakował. Podczas zbierania winogron, tak objedliśmy się nimi i tyle napił się soku z winogron, żeśmy już na winogrona nie chcieli nawet spojrzeć, i być może, że od tego czasu nie byłem już tak łapczywy na winogrona.

Opowiadał mi pewien mężczyzna, który uczył się jako chłopak za cukiernika, że właściciel cukierni powiedział mu po przyjęciu go do terminu: *Na co ci idzie smak, wszystko możesz jeść, ale nikomu nie śmiesz nic dać,*

ani wynieść poza dom. Przez kilka dni chłopak łapczywie jadł wszystko, ale później prawie że niczego już nie tknął, bo objadł się stłodyczami zaraz na początku.

Kiedy jesienią 1940 roku byłem w obozie w Vámosmikola, miejscowa ludność obchodziła święto winobrania. W sobotę po południu furmanki udekorowane i natadowane winogronami przyjeżdżały przy akompaniamencie muzyki do wsi, tworząc duży pochód. Wieczorem w pięknie udekorowanej sali Domu Ludowego odbyła się zabawa taneczna. Przez salę były pociągnięte sznury na wysokości około dwóch metrów, a na tych sznurach były przymocowane kiście winogron. Jeden mężczyzna, ubrany za policjanta, pilnował, by nikt winogron nie zrywał, kogo policjant złapał na kradzieży, tego karał. Przyłapany na „kradzieży” musiał zafundować po wodce całemu sądowi orzekającemu. Na sali młodzież tańczyła, śpiewała i bawiła się. Gospodarze siedzieli przy stołach, trochę popijali i również tańczyli. Zabawa była miła, a nastrój na niej wesoły. Nie było żadnych wybryków ani awantur. Zatem zabawa była piękna, miła i na poziomie.

WARSZAWIACY MIELI TUPET I MAJĄ GO NADAL

Kiedy byłem w obozie w Lengyeltóti, późną jesienią 1939 przydzielono do naszego obozu polskiego kapitana, który uciekł z Polski przez Karpaty już po zakończeniu działań wojennych. Podpułkownik, starszy obozu, przydzielił tego kapitana do pokoju kapitanów, miał więc lepsze miejsce niż mieli po-

rucznicy i podporucznicy. Podczas rozmów w tym pokoju z innymi oficerami nie wykazywał ów kapitan wiele inteligencji i ogólnych wiadomości, toteż drudzy współlokatorzy powątpiewali w jego inteligencję i jego stopień kapitana. Przy sobie nie miał wojskowej książeczki oficerskiej. Pokazywał tylko jakąś legitymację jakiegoś towarzystwa czy też stowarzyszenia i z napisem: Kpt. Xy (piszę Xy, bo nazwiska zapomniałem).

Jak dość do sedna rzeczy, czy dany osobnik jest kapitanem, albo czy w ogóle jest oficerem? Starszy obozu zarządził w obozie wykłady na tematy wojskowe. Co tydzień jeden z oficerów miał wykład na taki temat. Starszy obozu polecił rzekomemu kapitanowi opracować temat: *Dowodzenie batalionem.* Kapitan przyjął dany temat. Pożyczył sobie od innych oficerów różnych regulaminów wojskowych, na podstawie których opracował referat i wobec wszystkich oficerów wygłosił. Referat ten był odpisem regulaminu na temat dowodzenia batalionem. Po referacie starszy obozu nie otworzył dyskusji na temat referatu zaznaczając, że dyskusja nad referatem odbędzie się następnym razem.

Potem zawałał do siebie rzekomego kapitana i w obecności dwóch jeszcze oficerów świadków wziął rzekomego kapitana w krzyżowy ogień. Przyciśnięty do muru przyznał się, że w wojsku był kapralem, a przed wybuchem drugiej wojny grał jako skrzypek w pewnej kawiarni w Warszawie. A skąd jego legitymacja kapitana? Otóż miał on przy sobie legitymację wystawioną na kaprala, a w skrócie „kpr.” – litera „r” była pisana według alfabetu francuskiego. Zatem wystarczyło to francuskie „r” trochę do góry przedłużyć, i już z tego powstało „t”. Nie chciano tego meldować węgierskiemu komendantowi obozu i starszy obozu polecił rzekomemu kapitanowi zniknąć z obozu. W przeciągu kilku dni kapitan rzeczywiście się ulotnił.

Później dowiedzieliśmy się, że ów „kapitan” wypląnął jakie sto czy więcej km dalej w obozie dla uchodźców cywilnych. Warszawiacy mieli więc tupet i mają go nadal. Opowiadano mi w Budapeszcie, że pewien warszawski fryzjer udawał przez długi czas polskiego hrabiego i miał w Budapeszcie u węgierskiej hrabiny bezpłatne utrzymanie i mieszkanie. Kiedy poznałem naszych cywilnych uchodźców w Budapeszcie, stwierdziłem, że mogły rzeczywiście zdarzyć się podobne przypadki.

Ciąg dalszy nastąpi.

PETRUS WACHENIUS – POETA I PIWO

TEKST: DARIUSZ ROTT

ZAGADKI BIOGRAFICZNE

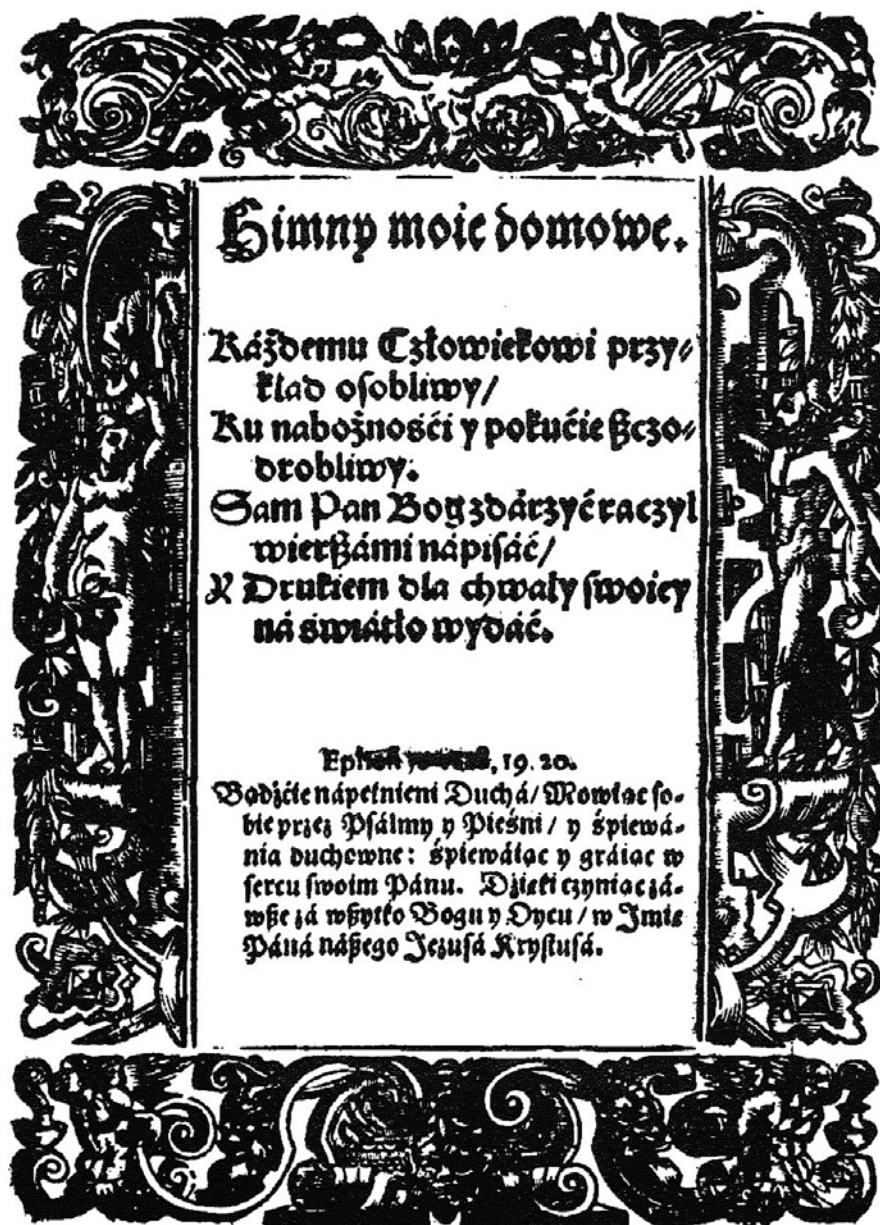
W 1612 roku ukazał się niewielki tomik zatytułowany *Hymny moje domowe*. Niewiele dzisiaj wiemy o autorze tego zbioru – Piotrze Wacheniusie (inne spotykane formy nazwiska: Wachenius Strelicenus, Wachenius Strzelecki). Nie wiemy, kiedy poeta przyszedł na świat (prawdopodobnie w ostatnich dziesięcioleciach szesnastego wieku), niczego nie wiemy o jego rodzicach, można jedynie domniemywać, że był mieszczaninem. Niewiele również wiemy o wykształceniu, jakie uzyskał. Czy i jak długo kształcił się na Śląsku, czy może pobierał nauki w jednej z licznych w Małopolsce szkół kalwińskich? O tym, że posiadał dość gruntowne wykształcenie, może świadczyć jego znajomość łaciny, być może języka czeskiego, znajomość kultury literackiej polskiego renesansu, m.in. twórczości Jana Kochanowskiego i Mikołaja Reja, powołanie się na Marcina Kromera, wreszcie cytaty z dzieł pisarzy kościelnych i teologów w jego utworach. Również data (na pewno po 1617 r.) i miejsce jego śmierci oraz pochówku nie są nam dzisiaj znane. Wobec ubóstwa faktów biograficznych jedynym wiarygodnym źródłem, które pozwala w sposób pośredni odtwarzać elementy biografii Wacheniusa, jest jego twórczość. Ale i ona zawiera nader skąpe wiadomości biograficzne. W znajdującym się na początku zbioru poetyckiego *Hymny moje domowe* utworze zatytułowanym *Przedmowa moja wobec do każdego/ wszędzie na tym świecie bliźniego mego* podaje następującą informację:

Piotr imię moje na krzcie mi dano,

Wachenius po ojcu mię zwano [...].

(Wszystkie cytaty z utworów Wacheniusa za: Piotr Wachenius, *Utwory zebrane*, oprac. Mariusz Pawelec, Dariusz Rott, Warszawa 2011).

O pochodzeniu twórcy można jedynie snuć przypuszczenia. Wywodził się ze środowiska mieszczańskiego, co zdaje się potwierdzać łacińska końcówka „ius” dołączona



Karta tytułowa zbioru poezji *Hymny moje domowe* (za: D. Rott, „*Hymny moje domowe*” Piotra Wacheniusa. *Przyczynek do dziejów braci czeskich na Śląsku wraz z tekstem utworu*, Katowice-Pszczyna, 2005). Ze zbiorów autora.

do nazwiska rodowego. Jak sam podaje w jednym z utworów, taką formą nazwiska posługiwał się już jego ojciec („Wachenius po ojcu mię zwano”). W użyciu była również postać spolszczona, czyli Wacheniusz. Prawdopodobnie jego nazwisko rodowe

brzmiało Wach lub Wacha i być może było ono skróconą formą od imienia Wactaw, które na Śląsk przywędrowało z Czech. W literaturze przedmiotu często pojawia się informacja, że Wachenius pochodził najprawdopodobniej ze Strzelec Opolskich

(dawniej Wielkich) – sam pisał o sobie bowiem – Petrus Vachenius Strelicensus. Pojawiała się także hipoteza, że mógł on pochodzić z Moraw, gdyż przydomek „Strelicensus” można odnosić do jednej z przynajmniej trzech miejscowości na Morawach. Mogły to być bowiem zarówno Strzelce na Śląsku, jak i Střelice położone na czeskim obszarze językowym. Dopiero badania przeprowadzone przez Mariusza Pawelca potwierdziły, iż Wachenius był najprawdopodobniej Ślązakiem spokrewnionym z rodziną Wochów, pochodząca ze Strzelec Opolskich. Jeden z jej przedstawicieli, Bazyli Wochius, w 1604 roku był nauczycielem w łacińskiej szkole św. Idziego w czeskiej Pradze. Siedem lat później wzmiankowany był jako luterański pastor w Lozmierzy (obecnie Płużnica Wielka) pod Strzelcami. Izajasz Wochius, studiował w 1607 roku na Uniwersytecie Praskim. Kilka kolejnych lat spędził jako preceptor w różnych miejscach w Czechach, zanim powrócił na Górny Śląsk.

Nie wiemy, w jakich okolicznościach, gdzie i kiedy zmarł Piotr Wachenius i gdzie został pochowany. Nie znamy też żadnego jego wizerunku.

WŚRÓD BRACI CZESKICH I KALWINÓW

Piotr Wachenius był kalwinem, zagorzałym polemistą religijnym i poetą. Utrzymywał ścisłe kontakty z przedstawicielami różnowerstwa polskiego i środowiskiem wyznaniowym braci czeskich. Wyraźne związki łączyły go z Bartłojem Bythnerem z Oświęcimia (wówczas ministrem zboru kalwińskiego w tym mieście), który był najpewniej protektorem Wacheniusa. Łączyły ich więzi towarzyskie i wspólnota konfesyjna. Wachenius nie tylko należał do wąskiego grona śląskich kalwinistów, ale również we współpracy z Bythnerem propagował wyznanie ewangelicko-reformowane. Współpracował także z Krzysztofem Kraińskim, słynnym kaznodzieją i teologiem, który także łączył swoją aktywność zborową z działalnością literacką.

Domniemywać należy o kontaktach Wacheniusa z czeskim ruchem reformacyjnym (najpewniej z Braćmi Czeskimi). Świadczyć mogą o tym zwłaszcza dość liczne czechizmy pojawiające się w jego utworach, a dostrzegane przez badaczy. Prawdopodobnie Wachenius pochodził ze spolszczonej ro-

dziny emigrantów wywodzących się z Jednoty braci czeskich, którzy schronili się na terytorium Rzeczypospolitej w 1548 roku. Z miejscem jego urodzenia zaznajomiony był nieznan bliżej teolog i poeta, Czech

Maciej Borzeslavin, autor krótkich wierszy dołączonych do jednego z tomików Wacheniusa. Wiedzę tę wykorzystał on w treści łacińskiego wiersza, dedykowanego Wacheniusowi:

*Pamięci powierzyć trzeba wspólnie znośne
tego metalu rdzawego brzemiona albo raczej
nie tęsknić już więcej za ojczystą ziemią.
Ważniejsza cnota. W ciężkim trudzie zdobyte
cnoty imiona – niepomne śmierci – tryumfują.
Chrystus, źródło życia, zbawienia naszego nadzieja,
dla ciebie wieczną, patronie łaskawy, niech będzie ozdoba.*

[przekład z języka łacińskiego Zbigniew Kadłubek]

35

Lemma Symbolicum Nominis.

P ETRUS V ACHENIUS S TRELICENSUS.

P ræmia V irtutis S empiterna.

*Est aliquid fulvi congesta tenere metalli
Pondera, vel patrio non caruisse solo.
At præstat Virtus, multo sudore parata
Nomina Virtutis nescia Mortis ovant.
CHRISTUS fons vitæ, & nostra anchora certa salutis,
Sis tibi perpetuum, gratæ Patronæ, decus.*

To jest!
Przypowiedka na Gmeno.

P etre W áchenius S trzelecki.

P obożności W ieczna S lawa.

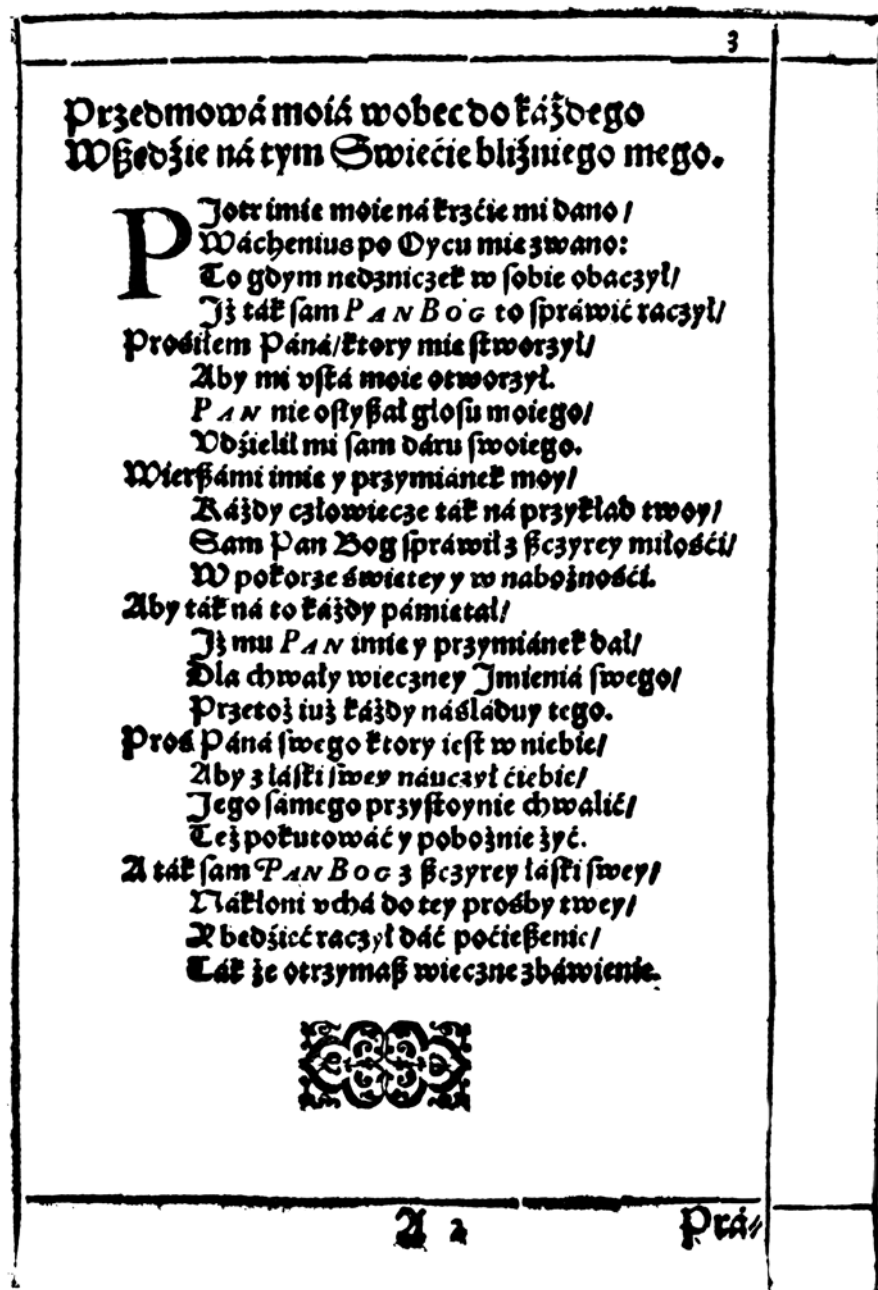
<p><i>Sámá Ernost jde bláhoslávni/ Křesťan y vírec; úte ostávi/ Neb cizotvleá Křesťánstého Páměť y skutkové geho / Gen; pochází z sváte Ernosti/ Zustava až ná Víceznosti. Tá páť Ernost neni v Bohátství Složena á v dístogenství/ Nizeti v sváte pobožnosti/ Z Křesťánstvé vprjímnosti.</i></p>	<p><i>Kterauito do náblituge/ Wícezne Gmeno y pufobuge. Y vy v te Ernosti wídy flugte/ D víceznau páměť pečugte Buh vam deg sváte poslyti/ Wšudy y ná kájdau chvilly. Táť nesmertetlností slawy/ W třecj gest Buh cizotvleť práwy Křystus syn Bohá y pvecho / Dogdete proho sámého.</i></p>
---	---

**A Matthia Czechio Borzeslavino B: SS^m.
Theolog:& Poeti: Studio.**

Wiersz *To jest připovídka na iméno* (za: D. Rott, „Hymny moje domowe” Piotra Wacheniusa. Przyczynek do dzieł braci czeskich na Śląsku wraz z tekstem utworu, Katowice-Pszczyna, 2005). Ze zbiorów autora.

Czeski poeta Borzeslavinus znał szczegóły biograficzne autora zbiorku, z którym dzielił tęsknotę za „ojczystą ziemią”. Skłania to do wysunięcia hipotezy o wywodzeniu się pszczyńianina ze środowiska wyznaniowego Jednoty Braterskiej lub przynajmniej o jego czeskim rodowodzie. Kluczowe znaczenie dla relacji Wacheniusa i Borzeslavina posiada zwrot „łaskawy patronie” zamieszczony w łacińskim epigramie. Może oznaczać zarówno patrona, opiekuna, jak i obrońcę. Nie rozstrzygając ostatecznie kwestii warto podjąć próbę ustalenia, do jakich represji wyznaniowych mogły odnosić się słowa utworu. Wyłączyć należy wydarzenia z 1548 roku jako zbyt odległe w czasie, aby mogły dotyczyć bezpośredniej biografii obu poetów (ich wspólnota losów w świetle utworu wydaje się pewna). Można wykluczyć także sytuację, która nastąpiła jesienią roku 1575. Po odbytej koronacji Rudolfa II Habsburga w Pradze, jego ojciec cesarz Maksymilian II, opuszczając Czechy, zakazał drukowania Konfesji Czeskiej (*Confessio Bohemica*) oraz wydał dwa akty. Pierwszy z nich skierowany został przeciw Jednocie Braci Czeskich, a oparty był na wcześniejszym akcie z roku 1508. Drugi zakazywał nabożeństw w miastach królewskich. Wycofanie się cesarza z wcześniejszej ustnej deklaracji uznawania konfesji wspólnej dla różnych nurtów protestantyzmu czeskiego, nie przyniosło jednakże drastycznych represji.

Wydarzenia te wydają się również zbyt wczesne ze względu na wiek Borzeslavina, który pod wierszem wydanym w tomiku poetyckim Wacheniusa w 1612 roku podpisał się jako „świętej teologii i poezji student”. Można zatem założyć, że pomiędzy obydwoma twórcami istniała znaczna różnica wieku, a Wachenius mógł otaczać opieką młodszego współwyznancę. Najbardziej odpowiednim okresem dla wspólnie znoszonych bolesnych doświadczeń „metal rdzawego brzemienia” byłyby wydarzenia, jakie nastąpiły począwszy od roku 1602. W tym roku wydany został dekret Rudolfa II skierowany przeciw wyznawcom Jednoty Braci Czeskich. Doprowadził on do trwających dwa lata represji, które objęły zwłaszcza miasta królewskie, gdzie zamknięto większość zborów Braci. Dopiero nadany latem 1609 roku monarszy „List majestatyczny” przyznał protestantom w Czechach i na Śląsku swobody wyznaniowe. Można założyć, że Wachenius,



Przedmowa do *Hymnów moich domowych*, Łaszczów 1612 (za: D. Rott, „Hymny moje domowe” Piotra Wacheniusa. Przyczynek do dziejów Braci Czeskich na Śląsku wraz z tekstem utworu, Katowice-Pszczyna, 2005). Ze zbiorów autora.

o ile był zaangażowany w obronę swego wyznania, właśnie po tej dacie mógł otrzymać urząd cesarskiego poborca cła i podatków w położonej na granicy z Rzeczpospolitą komorze celnej w Pszczynie

Wiemy, iż Wachenius od około 1612 do co najmniej 1617 roku był cesarskim poborcą („wybiercą”, jak sam stwierdzał) celi i podatku piwnego w Pszczynie. Pisze o tym w zakończeniu jednego ze swych utworów. Pobierał cło i podatek od obywateli, którzy warzyli i sprzedawali piwo.

TWÓRCZOŚĆ

Twórczość Wacheniusa obejmuje jedynie trzy znane nam dzisiaj utwory niewielkiej objętości: *Hymny moje domowe*, rozprawę polemiczną z katolikami zatytułowaną *Wiara od Pana Boga i co zakon a co wiara jest* oraz niewielki modlitewnik pt. *Summa świętego krześcijańskiego nabożeństwa* (krótki wykład podstawowych zasad wiary chrześcijańskiej w ujęciu ewangelickim oraz napomnienie do modlitw domowych w formie

zbioru krótkich modlitw wierszem i prozą skupionych wokół tekstów liturgicznych, *Wierzę w Boga Ojca, Ojciec nasz* i *Dekalog*, uzupełnionych o pieśni przydatne w codziennym życiu chrześcijanina. Być może Wachenius był autorem jeszcze innych, dzisiaj nieznanymi, pism religijnych.

Hymny moje domowe Piotra Wacheniusa to niewielki zbiór wierszy lirycznych w języku polskim, pieśni religijnych, być może przeznaczonych do śpiewania, w których przeważa pieśń ekspresywna (pochwalna, błagalna lub dziękczynna). Utwory Wacheniusa nawiązują do tradycji hymnów, zwłaszcza do *Pieśni* Jana Kochanowskiego (szczególnie do jego hymnu *Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?*) oraz *Psalterza Dawidowego*. Dominuje w nich pochwała Boga, a konwencjonalne motywy treściowe skupiają się wokół uwielbienia dla dobroci, wszechmocy, panowania nad człowiekiem oraz miłosierdzia bożego, a także wizji piękna i harmonii świata jako tworu boskiego architekta.

Hymny moje domowe Piotra Wacheniusa należy umieścić jako teksty w języku polskim przeznaczone do odczytywania w zaciszu „kościółki domowego” w rodzinnym gronie (świadczą o tym już sam tytuł utworu), wreszcie jako ważną lekturę rodzinną w życiu duchowym śląskich ewangelików, wskazującą podstawowe zasady bycia ewangelikiem w ówczesnym świecie. Wszak to w XVII stuleciu na Śląsku upowszechnia się przekonanie, że o Bogu mówić należy i stawić jego chwałę w języku codziennej komunikacji, w „języku serca”, wspierającym praktyki pobożności domowej. Trudno oczywiście określić *Hymny* mianem dzieła wybitnego. Nie znajdziemy w nich wymyślnych metafor – poeta postępuje się najczęściej epitetami i wyliczeniami. Utworom Wacheniusa, które charakteryzują się lapidarnością, meliznością i ekspresywnością, nie można odmówić jednak pewnego naiwnego uroku prostego i szczerego, żarliwego wyrażenia uczuć, stanów duchowych oraz przeżyć religijnych, a przede wszystkim oddawania czci Bogu przez siedemnastowiecznego protestanta. Napisane są językiem prostym, w którym zasadniczo brak jest cech dialektycznych, adresowanym do szerokiego ewangelickiego odbiorcy, być może pochodzącego z warstwy plebejskiej.

Szczególne uwagę należy natomiast zwrócić zwłaszcza na te utwory, które nawiązują do twórczości Jana Kochanowskiego, a szczególnie do jego hymnu – *Czego chcesz od nas,*

Panie, za Twe hojne dary – „arcydzieła staropolskiej liryki refleksyjnej” (określenie Stanisława Grzeszczuka), „manifestu humanistycznej religijności” (określenie Jerzego Ziomka). O wyraźnych związkach świadczą między innymi: powtórzenia tych samych wątków treściowych, wykorzystanie za Kochanowskim kilkakrotnie powtórzonych pary rymowej (*dary – miary*) czy podobieństwa frazeologiczne.

Hymny moje domowe są interesującym przejawem kultury literackiej na Śląsku, śladem recepcji twórczości Jana Kochanowskiego, a także dokumentem siedemnastowiecznej duchowości, przykładem pełnej pokory i skromności religijnej postawy śląskiego protestanta.

WSPÓŁCZESNE UPAMIĘTNIENIA

Od ćwierć wieku staramy się przypominać życie i twórczość Wacheniusa. Jego poezje są obecne w środowisku pszczyńskim, a utwory wydawane w bibliofilskiej formie. Pierwsza pszczyńska edycja miała miejsce w 1999 roku. Dziewięć lat później postać Wacheniusa została upamiętniona tablicą w brązie wmurowaną w fasadę kamienicy przy pszczyńskim rynku (Rynek 9), gdzie dawniej mieścił się urząd skarbowy. Odświeżenie tablicy upamiętniającej Piotra Wacheniusa, której inicjatorem i orędownikiem było Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, było elementem obchodów jubileuszu 25-lecia reaktywowania Polskiej Skarbowości. Fundatorem tablicy było Ministerstwo Finansów, a jej projekt i model wykonał Aleksander Spyra.

Kilka lat temu Piotr Wachenius doczekał się jeszcze innej specyficznej formy upamiętnienia w Pszczyńcu. Jak pamiętamy, Wachenius około roku 1612 był cesarskim poborcą ceł i podatku piwnego w wolnym państwie pszczyńskim. Po ponad czterystu latach postanowiono w ramach unikatowej współpracy śląskich mikrobiologów i polonistów stworzyć markę piwną „Wachenius”.

Na ówczesnym Wydziale Biologii i Ochrony Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zrodził się pomysł projektu BioWar, obejmujący sposób izolacji drożdży z różnych środowisk i ich możliwości zastosowania w przemyśle, w tym w piwowarstwie. Zdobyta podczas realizacji tego projektu wiedza oraz umiejętności z zakresu izolacji i charakterystyki dzikich szczepów drożdży pod kątem ich potencjalnego wykorzystania w browarnic-

twie oraz ich namnażania w celu wykorzystania w przemyśle browarniczym umożliwiły realizację kolejnego projektu pod naukową opieką dr. Sławomira Sułowicza i mgr. Sławomira Borymskiego z Katedry Mikrobiologii WBiOŚ UŚ. W roku akademickim 2016/2017 prace studentów zaangażowanych w działalność sekcji mikrobiologicznej Interdyscyplinarnego Koła Naukowego Przyrodników „Planeta”, skupiły się na poszukiwaniach szczepów drożdży, które mogły być wykorzystywane przez browarników setki lat temu. Dzięki współpracy z archeologiem prof. Sławomirem Dryją z Katedry Dziejów Kultury Wydziału Historii i Dziedzictwa Kulturowego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie oraz Janem Krysiakiem ze Śląskiego Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Piwowarów Domowych członkom projektu BioWar udało się zdobyć dostęp historycznych wnętrza krakowskich piętnastowiecznych piwnic, w których przed wiekami warzono i składowano piwo. Z miejsc tych wyizolowano szczepy drożdży, które mogą być bezpośrednimi potomkami drożdży wykorzystywanych w tym rejonie w browarnictwie setki

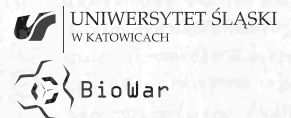


Tablica pamiątkowa wmurowana na kamienicy przy pszczyńskim rynku (fot. D. Rott)

Powstanie piwa Wachenius jest wspólna inicjatywą Sekcji Mikrobiologicznej Interdyscyplinarnego Koła Naukowego Przyrodników „Planeta” oraz Międzywydziałowego Doktoranckiego Koła Naukowego Humanistów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Powstało jako efekt współpracy studentów, doktorantów i pracowników Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska i Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach w kooperacji z Uniwersytetem Papieskim w Krakowie i członkami Polskiego Stowarzyszenia Piwowarów Domowych.



Piwo jasne pełne w stylu:
Weissbier
Najlepiej spożyć przed:
31.01.2018
Przechowywać w chłodnym,
zaciemnionym miejscu
Składniki: **Woda, słody
jęcmienne, słód pszeniczny,
chmiel, drożdże.**
Alf. **4,8%**obj.
Cisr. **12°** plato



Pierwsza etykieta piwa Wachenius z 2017 r. (ze zbiorów autora) i logo pszczyńskiego browaru (fot. D. Rott)

lat temu. Drożdże dobrze zahibernowały się na cegle i na zaprawach wapiennych. Zadaniem mikrobiologów było wybranie w odpowiedniej procedurze laboratoryjnej przeprowadzonej w Uniwersytecie Śląskim w Katowicach szczepów drożdży o odpowiednich właściwościach fermentacyjnych. Jak dotąd dużą zagadką dla historyków było zagadnienie, jakimi drożdżami fermentowano piwa w dawnych wiekach, bowiem dostępne źródła milczą na ten temat.

Wstępne badania umożliwiły wskazanie szczepu o największym, stwierdzonym w laboratorium, potencjale do wykorzystania w przemyśle piwowarskim. Praktyczny sukces wykorzystania historycznych drożdży zachęcił uczestników projektu BioWar do wykorzystania ich w celu uwarzenia specjalnego piwa. Okazja do użycia historycznych drożdży nadarzyła się, gdy z inicjatywą współpracy z projektem Biowar wystąpił, piszący te słowa, prof. dr hab. Dariusz Rott z Zakładu Historii Literatury Średniowiecznej i Renansu Uniwersytetu Śląskiego, wówczas opiekun naukowy Międzywydziałowego Doktoranckiego Koła Naukowego Humanistów Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Piwo powstało jako efekt unikatowej współpracy studentów, doktorantów i pracowników naukowych Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska UŚ oraz Wydziału Filologicznego UŚ. Celem projektu było przywrócenie dziedzictwa kulturowego pszczyńskich piwowarów i pamięci o postaci Piotra Wacheniusa, a projekt biofilsko-kulturowy realizowany był w Roku Reformacji (2017) oraz w czterechsetlecie pobytu Piotra Wacheniusa (poety, polemisty religijnego, cesarskiego poborcy ceł i podatku piwnego) w Pszczynie.

Zajęcie, którym parat się Wachenius, przypomina współczesnym, iż ważnym elementem dziedzictwa ówczesnej Pszczyny było browarnictwo. Fakt ten był impulsem do pogłębienia wiedzy na temat historii i ówczesnego życia codziennego. Znakomitym sposobem, by poczuć smak czasów Wacheniusa i radować się przednim trunkiem było przygotowanie, na podstawie dawnych receptur, piwa, które uwarzone zostało na podstawie przepisu powstałego po przeanalizowaniu rachunków browarów pszczyńskich oraz instrukcji dla inspektorów piwowarskich w Pszczynie z XVII wieku (J. Kruczek, *O piwowarach i browarach pszczyńskich*, Pszczyna, 1989). Browarnicy postarali się o zachowanie procedury charakterystycznej dla tego okresu. Piwo Wachenius to piwo jasne w stylu pszenicznego o objętości alkoholu 4,8 % obj.

Do współpracy w realizacji projektu zaproszono Jana Krysiaka, ówczesnego prezesa Śląskiego Oddziału Polskiego Stowarzyszenia Piwowarów Domowych, którego receptura piwa jasnego, gatunkowo najbliższego współczesnemu Weissbierowi, miała oddać ducha tamtych czasów. W efekcie, zachowując procedury charakterystyczne dla tego okresu, w tym filtrowanie z wykorzystaniem słomy, powstała limitowana partia piwa Wachenius, w którym chmielowa goryczka nie zakłócała pierwotnego smaku siodu i efektu pracy dzikich szczepów drożdży.

Finał projektu odbył się w Muzeum Prasy Śląskiej im. Wojciecha Korfantego w Pszczynie, 28 października 2017 r. Od tego czasu w Pszczynie corocznie jesienią odbywają się Urodziny Piotra Wacheniusa, pozwalające regularnie przypominać pamięć o tym twórcy. W 2022 w jednej z pszczyńskich kamie-



nic otwarto rzemieślniczy Browar 16 Petrus Wachenius, w którym warzone jest m.in. piwo pszczeniczne Petrus Wachenius. Piwo Wachenius uzyskało tytuł: Lokalna Marka Ziemi Pszczyńskiej. Jest to znak jakości przyznawany produktom wytwarzanym w powiecie pszczyńskim, spełniającym odpowiednie kryteria certyfikacyjne, a jego celem jest wspieranie lokalnej przedsiębiorczości, promowanie walorów i zasobów regionu, a także wzrost ruchu turystycznego na ziemi pszczyńskiej. Artykuły oznaczone LMZP są gwarancją wysokiej jakości produktów, pochodzących z terenu powiatu pszczyńskiego. Logo LMZP nawiązuje do wizerunku róży, stanowiącej element historycznego haftu pszczyńskiego. LMZP powstała i została wdrożona w ramach międzynarodowego projektu pn. „Regionalne produkty – bogactwo pogranicza”, realizowanego w latach 2021–2022 wspólnie z czeskim partnerem – MAS Pobeskydí. Projekt ten współfinansowany był ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego i z budżetu państwa w ramach Funduszu Mikroprojektów Euroregionu Beskidy Programu INTERREG V-A Republika Czeska – Polska 2014–2020.

Obecnie trwają prace nad utworzeniem w Pszczynie Muzeum Piwowarstwa Ziemi Pszczyńskiej im. Piotra Wacheniusa.

DOBRE DZIEŁO

ROZMAWIAŁA: ŻANETA ŠEVČIKOVÁ / ZDJĘCIA: RENATA PUTZLACHER

Z Renatą Putzlacher Buchtową, czesko-polską poetką, tłumaczką, publicystką, wykładowczynią na Uniwersytecie im. Masaryka w Brnie oraz autorką scenariuszów rozmawiamy o najnowszym spektaklu *Dobré dílo* (*Dobre dzieło*).

TEATR

Spektakl *Dobre dzieło* wystawiono w sierpniu br. w Salach Opackich klasztoru w Broumowie. Wiem, że darzy pani to miejsce wielkim sentymentem i był to już drugi spektakl według pani scenariusza, który tam przedstawiono.

Przed 10 laty zaprosił mnie do Broumowa pochodzący z Pragi Jan Školník, entuzjasta i mecenas, współpracujący z pochodzącym z Czeskiego Cieszyna Prokopem Siostrzonkiem, arcyopatem klasztoru brzewnowskiego. Dzięki tej współpracy i założonej w 2004 roku Agencji Rozwoju Ziemi Broumowskiej udało się odnowić imponujący barokowy kompleks klasztorny w Broumowie.

Poproszono mnie o napisanie sztuki przedstawiającej tysiącletnią historię tamtego, leżącego w kotlinie niemal na granicy czesko-polskiej regionu i miasta, bo obaj panowie znali spektakl *Cieszyńskie niebo*, opowiadający o naszym pograniczu. Otrzymałam materiały dotyczące regionu broumowskiego i dawnego klasztoru benedyktynów, który poznałam bardzo dokładnie, od piwnic aż po strych, a potem spędziłam wiele godzin w bibliotekach.

Chciałam dowiedzieć się więcej o pierwszych osadnikach, benedyktynach, architektach, wojnach i konfliktach, ale przede wszystkim o pozytywnych rzeczach, które zostawili nam ci, którzy żyli tu przed nami.

W 2015 roku odbyła się premiera spektaklu *Gra-nic-a*, którego reżyserem był Radovan Lipus, mój wieloletni współpracownik, a w tym roku wróciliśmy do tego inspirującego miejsca i już nie na dużej scenie, ale w Salach Opackich klasztoru przedstawiliśmy bardziej kameralne *Dobre dzieło*.

Na pierwszy rzut oka możemy się zastanawiać, dlaczego akurat ta nazwa inscenizacji. Czy ukrywa się w jej tytule jakieś głębsze znaczenie?

Spektakl ten powstał specjalnie dla Agencji Rozwoju Ziemi Broumowskiej z okazji jej 20. urodzin. Dziś można zamieszkać w dawnym klasztorze benedyktynów, działa tam bardzo prężnie Centrum Edukacyjno-Kulturalne, ogromnym sukcesem jest też fakt, że w ubiegłym roku dwa czeskie miasta – Broumow i o wiele większe i bar-



dziej znane Czeskie Budziejowice – ubiegają się o tytuł Europejskiej Stolicy Kultury 2028. To, co robią broumowscy zapaleńcy, można więc nazwać dobrym dziełem.

Jest jeszcze jeden powód. Gdy przed 9 laty realizowaliśmy *Gra-nic-ę*, która nosiła podtytuł muzyczno-teatralny szałom przez historię Broumowa, musieliśmy zrezygnować z niektórych scen. Obiecaliśmy sobie wtedy, że wrócimy do niektórych postaci i wydarzeń, być może w bardziej kameralnej wersji, poświęconej XX wiekowi. Postacią, która mnie zainspirowała, był Josef Florian, myśliciel katolicki i wydawca – jedna z jego ważnych edycji książkowych nosiła nazwę *Dobre dzieło*.

Jaki jest podstawowy temat inscenizacji i jak długo przebiegały przygotowania tekstu?

Florian w naszym spektaklu nie występuje, ale wszyscy bohaterowie są z nim albo z tym, co robił i o czym pisał, na różne sposoby związani. Benedyktyni Sigismund Ludwik Bouška i Jan Anastazy Opasek byli poetami, znali wiele osobistości świata sztuki. Obaj zostali pochowani na cmentarzu benedyktyńskim w praskim Brzewnowie, gdzie w 1994 roku pochowano również Karela Kryla. Dziadek i ojciec pieśniarza byli znanymi i cenionymi drukarzami, znali wydawcę Floriana i wielu pisarzy.





Z kolei Kryl poznał opata Anastazego Opaska dopiero jako emigrant polityczny i brał udział w spotkaniach stowarzyszenia Opus bonum (łac. Dobre dzieło), którego Opasek był współzałożycielem.

Przez kilka lat próbowałam jakoś połączyć losy tych bohaterów, a ciekawym odkryciem były dla mnie opowiadania pochodzącej z Wołynia pisarki Marii Stryjowej. Jej rodzina miała czeskie korzenie i przybyła na Ziemię Broumowską po II wojnie światowej.

Możemy w spektaklu odnaleźć wątki, które są ciągle aktualne?

Często narzekamy na trudne czasy. My chcieliśmy przedstawić odważne, często lekceważone osobistości, które starały się przezwyciężyć przeciwności losu w cieniu dwóch totalitaryzmów. W 1950 roku komunistyczne władze Czechosłowacji utworzyły w broumowskim klasztorze obóz internowania dla mnichów i księży, potem mieszkali tu i ciężko pracowały siostry zakonne.

Od początku marzyłam o tym, by wystawić spektakl właśnie w klasztorze, w pięknie odnowionych (po dziesięcioleciach pełnych pogardy wobec ludzi Kościoła) Salach Opackich. Dobre dzieło to również żmudna, niestrudzona praca ludzi, dla których słowa nadzieja i wolność nie były pustymi pojęciami. Ważne jest też przesłanie, że wartościowe idee i dzieła nie muszą powstawać w metropoliach, ale często rodzą się na prowincji, w małych ośrodkach.

Według jakiego klucza wybierano obsadę?

Ponieważ nasz spektakl jest kontynuacją wcześniejszej dobrze przyjętej przez widzów inscenizacji, niektórzy aktorzy, którzy pracowali z nami przed laty, zgłosili chęć udziału w *Dobrym dziele*. Intensywne dziesięciodniowe próby nowej produkcji były wielkim wyzwaniem nie tylko dla nas, realizatorów, dla aktorów

zawodowych, ale także dla lokalnych amatorów.

Mieszkaliśmy w klasztorze, próby odbywały się tu codziennie, przed południem i w godzinach popołudniowych, razem jedliśmy śniadania, obiady i kolacje. Tworzyliśmy bardzo zaangażowaną teatralną wspólnotę i było to niepowtarzalne doświadczenie, którego zwieńczeniem była premiera w czwartek 15 sierpnia 2024 roku.

Czy myśli Pani, że inscenizacja mogłaby mieć jakąś kontynuację?

Dobre dzieło zagraliśmy cztery razy, przyjęto je bardzo entuzjastycznie i teraz wiele osób pyta, kiedy odbędą się kolejne spektakle. Na pewno znów spotkamy się w Broumowie w przyszłym roku w sierpniu, wtedy znów zaplanowanych jest kilka przedstawień, organizatorzy chcą też wydać sztukę drukiem. O ewentualnej kontynuacji możemy więc zacząć myśleć dopiero za parę lat.

AGATA GRYCZ

ROK SPĘDZONY W AMERYCE NAUCZYŁ MNIE SAMODZIELNOŚCI

ROZMAWIAŁA: IZABELA ADÁMEK / ZDJĘCIA: Z ARCHIWUM AGATY GRYCZ



Agata Grycz zaraz po maturze nie była pewna, co dalej. Nie wiedziała, co chciałaby studiować ani czym chciałaby się zajmować w przyszłości. Przepadkowo natrafiła w internecie na ofertę wyjazdu na rok do USA jako opiekunka do dzieci – *au pair*. Po chwilowym zastanowieniu zdecydowała się zrealizować ten pomysł. Tak zaczęła się jej przygoda za oceanem.

Co wszystko musiałaś zrobić, aby wyjechać do USA jako *au pair*?

Nie było to szczególnie trudne, bardziej czasochłonne. Musiałam wypełnić formularz zgłoszeniowy, a potem stworzyć profil na portalu agencji, przez którą wyjeżdżałam. Dostarczyłam tam informacje o sobie oraz referencje od osób z mojego bliskiego otoczenia. Gdy profil był gotowy, został udostępniony rodzinom w Stanach Zjednoczonych, które szukały *au pair*, a te następnie zaczęły się ze mną kontaktować.

W jaki sposób przebiegał proces wyboru rodziny?

Skontaktowały się ze mną trzy rodziny. Najpierw wymienialiśmy się wiadomościami, potem odbywały się wideorozmowy. Z pierwszą rodziną rozmawiałam tylko raz i nic z tego nie wyszło. Z drugą rodziną tylko pisaliśmy, nie mieliśmy nawet rozmowy telefonicznej. Dopiero trzecia rodzina wydawała się odpowiednia – rozmawialiśmy kilka razy i od razu się porozumieliliśmy, więc poczułam, że to jest to.

Skąd wziął się pomysł na tak długi wyjazd za granicę?

Nie byłam do końca zdecydowana, co chciałabym robić po maturze, a jednocześnie chciałam spróbować czegoś innego niż większość osób. Wtedy na Instagramie zauważyłam informację o możliwości wyjazdu do Ameryki jako *au pair*. Zaczęłam się tym coraz bardziej interesować i tak właśnie zrodził się ten pomysł.

Czy było trudno przyzwyczać się do nowego miejsca, kultury i języka?

Językowo byłam dobrze przygotowana, angielski nie sprawiał mi problemu, ale na początku potrzebowałam powtórzenia pewnych rzeczy lub prosiłam, by mówiono wolniej. Pomogło mi też, że oglądaliśmy filmy bez napisów, dzięki czemu angielski stał się dla mnie bardziej naturalny. W sumie adaptacja nie zajęła mi zbyt dużo

czasu. Musiałam tylko przyzwyczać się do życia w innej rodzinie i do ich zwyczajów.

Jak konkretnie wyglądała twoja praca?

Moja praca polegała przede wszystkim na opiece nad dwójką dzieci. Troszczyłam się o dziewczynki w wieku dwóch i czterech lat. Codziennie rano budziłam je, przygotowywałam do przedszkola, ubierałam, robiłam śniadanie i odwoziłam do przedszkola. Potem zajmowałam się praniem ich ubrań, sprzątaniem pokoju i innymi obowiązkami. Popołudniami odbierałam je z przedszkola, a jeśli miały jakieś zajęcia dodatkowe, to je na nie zawoziłam. Wie-

czorami gotowałam kolację, a jeśli rodzice mieli jakieś plany, to również zajmowałam się dziećmi i następnie kładłam je spać.

A jeżeli chodzi o twoje relacje z rodziną, u której pracowałaś, jak one wyglądały?

Moje relacje z rodziną, u której pracowałam, były bardzo dobre w porównaniu z doświadczeniami innych *au pair*, które spotkałam w USA. Poznane opiekunki często mówiły, że nie miały żadnego bliższego kontaktu z rodzinami, u których pracowały. Z moją rodziną utrzymujemy kontakt do dziś – piszemy do siebie regularnie, a w listopadzie planuję ich odwie-





dzić. Cały czas podczas mojego pobytu w USA bardzo mnie wspierali i przyjęli moją rodzinę jak własną, kiedy przyjechali za mną do Ameryki. Miałam również świetne relacje z ich babcią, która stała się dla mnie taką trzecią babcią. Mogę więc powiedzieć, że te relacje były naprawdę bardzo dobre.



Co cię w Ameryce najbardziej zaskoczyło?

Zaskoczyło mnie, że wszystko tam jest naprawdę ogromne – mam na myśli dosłownie wszystko. Od krajobrazów, miast, samochodów i domów po łóżko w pokoju. Zaskoczył mnie również styl życia: albo żyjesz bardzo skromnie, od wypłaty do wypłaty, albo możesz sobie pozwolić na niemal wszystko i możesz wydawać pieni-

dze na bzdury lub organizować imprezy na różne tematy za duże pieniądze. Na przykład, choinka, którą kupiła moja rodzina, miała trzy metry i kosztowała siedemnaście tysięcy koron.

Co było dla ciebie największym wyzwaniem podczas wyjazdu?

Najtrudniejsza była rozłąka z rodziną. To był pierwszy raz, kiedy byłam tak długo i tak daleko od nich, a jedyny kontakt mieliśmy online. Trudna była też adaptacja do życia z nową rodziną – mieszkając z obcymi ludźmi, z którymi musiałam dzielić codzienne życie. Kolejnym dużym wyzwaniem był wypadek samochodowy, który przydarzył mi się w Los Angeles. To dla mnie było naprawdę psychicznie trudne.

Jak radziłaś sobie z momentami takimi jak na przykład Święta Bożego Narodzenia, będąc daleko od domu?

Święta były dla mnie chyba najtrudniejszym okresem w czasie pobytu w USA. Tęsknota za domem zwykle pojawia się po 2–3 miesiącach od przyjazdu, i tak właśnie było u mnie. Kiedy nadeszły Święta, odczułam to bardzo mocno. Dodatkowo przeżyłam wtedy wspomniany wcześniej wypadek samochodowy, co jeszcze bardziej utrudniło ten czas. W domu Święta zawsze spędzamy razem – z rodzicami, bratem,

kuzynami, wujkami i dziadkami. Jesteśmy sobie bardzo bliscy, dlatego ta rozłąka była dla mnie wyjątkowo ciężka. Jestem jednak ogromnie wdzięczna rodzinie, dla której pracowałam w USA, bo przyjęli mnie jak swoją własną. Patrząc wstecz, wiem, że dało się to przetrwać, ale w tamtym momencie było mi naprawdę ciężko.

Czy udało ci się też podróżować w trakcie twojego pobytu w Ameryce?

Podróżowałam dużo, bo miałam wizę *au pair*, która ustalała zasady dotyczące mojego czasu wolnego. Miałam dokładnie określone, ile godzin mogę pracować tygodniowo oraz że mam prawo do co najmniej jednego wolnego weekendu w miesiącu. Dodatkowo, w ciągu pół roku musiałam mieć jeden cały tydzień wolnego. Na podstawie tych zasad zawsze z wyprzedzeniem ustalałam z moją rodziną, kiedy będę miała wolny weekend. Dzięki temu, prawie każdy z tych wolnych weekendów wykorzystywałam na wyjazdy.

Co udało ci się zwiedzić?

Byłam na krótszych wycieczkach do dużych miast, takich jak Chicago, Las Vegas, Nowy Jork, San Francisco i innych. Wybrałam się również na weekendowe wypadki do Parku Narodowego Sekwoi i Yosemite. Kiedy miałam wolny tydzień, pojechałam z jedną



z *au pair* do Utah i Arizony, zwiedzić parki narodowe. Kolejny tydzień wolnego spędziłam, gdy odwiedzili mnie moi rodzice z bratem. Razem pojechaliśmy do Nowego Jorku i na wschodnie wybrzeże. Łącznie zwiedziłam dwadzieścia stanów z pięćdziesięciu. Moje podróżowanie było jednym z głównych powodów, dlaczego w ogóle zdecydowałam się wyjechać do Ameryki.

Był jakiś moment, który zrobił na tobie największe wrażenie?

Największe wrażenie zrobiły na mnie wycieczki, gdy jechaliśmy długimi autostradami, a wszędzie dookoła rozpościerały się niesamowite krajobrazy – to było naprawdę piękne przeżycie. Również Disneyland zrobił na mnie ogromne wrażenie. Choć trzeba było długo czekać w kolejkach na atrakcje, warto było. Korowód postaci z bajek i sztuczne ognie były tak emocjonujące, że nawet mój tata był zupełnie zachwycony. Nie mogę zapomnieć o świętach takich jak Halloween lub święto Dziękczynienia, przeżyć to na własnej skórze było naprawdę wspaniałe.

Co dał ci rok spędzony w Ameryce?

Ten czas nauczył mnie samodzielności. Musiałam załatwiać wszystko sama, od prawa jazdy po ubezpieczenie socjalne, co wymagało jeżdżenia po urzędach. Sama gotowa-

łam, prałam, troszczyłam się o siebie i podróżowałam, co sprawiło, że stałam się bardziej niezależna. Ponadto, choć moje umiejętności językowe były na dobrym poziomie, teraz czuję się o wiele pewniej w używaniu języka angielskiego. Uważam też, że opiekując się w wieku dwudziestu lat codziennie dwoma małymi dziewczynkami, stałam się bardziej dojrzałą – to doświadczenie z pewnością miało ogromny wpływ na mój rozwój osobisty.

Czy jest coś, co szczególnie ci się podobało w USA?

Bardzo podobało mi się samo życie w Ameryce. Choć już od dawna nie jest prawdą, że Ameryka jest lepsza od Europy, wciąż mamy takie uczucie, że jest to coś wyjątkowego. Pobyt i doświadczenie amerykańskiego stylu życia było dla mnie naprawdę świetnym przeżyciem. Cieszyło mnie również podróżowanie – niezależnie od tego, jaka jest Ameryka, miasta i przyroda są po prostu niezwykle. Na tyle, że jeśli ktoś raz to zobaczy, na pewno będzie chciał tam wrócić.

A teraz z innej beczki, co najbardziej ci się w Ameryce nie podobało?

Najbardziej przeszkadzały mi ogromne różnice w poziomie życia. Albo ktoś ma dużo pieniędzy i może sobie pozwolić na

prawie wszystko, albo nie ma nic. U nas sytuacja jest zupełnie inna – większość ludzi żyje dobrze. Kiedyś myślałam, że mogłabym mieszkać w Ameryce na stałe, ale teraz wiem, że byłoby to trudne.

Jaką radę dałbyś komuś, kto chce wyjechać za granicę na dłuższy czas, ale ma wątpliwości?

Odrzuć wszystkie wątpliwości i strach na bok. Choć mogą pojawić się trudne chwile, taki wyjazd może przynieść przede wszystkim wiele dobrego. Każde negatywne doświadczenie może ostatecznie okazać się pozytywne, pomóc ci dalej się rozwijać oraz iść naprzód.



IZBA TRADYCJI W NIEBORACH ZYSKAŁA KOLEJNE CENNE ARCHIWALIA PO KAROLU PAWLICY - SAMURAJU Z NIEBORÓW

TEKST: SYLWIA GRUDZIŃ

Izba Tradycji działająca przy Miejsowym Kościele Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Nieborach otrzymała kolejne pamiątki po Karolu Pawlicy – polskim działaczu narodowym, agronomie, ekonomie, dyplomacie, członku miejscowego koła PZKO w Nieborach i przede wszystkim działaczu humanitarnym. Fotografie, pocztówki i listy po Samuraju z Nieborów przekazała miejscowemu kołu Jadwiga Halicka – ta sama ofiarodawczyni, która na początku tego roku przekazała Izbie pokaźny zbiór pamiątek.

O tym niezwykle cennym zbiorze pisaliśmy w kwietniowym numerze „Zwrotu” w artykule *Droga samuraja. Historia Karola Pawlicy z Nieborów*. Na podstawie uzyskanych archiwaliów udało się odtworzyć życiorys wyjątkowego nieborowianina, który w 1920 roku w ramach Polskiego Komitetu Ratunkowego Dzieci Dalekiego Wschodu wziął udział w akcji ewakuacyjnej polskich dzieci z Syberii. Dokumenty, listy,

zdjęcia, pocztówki i bezcenny dziennik pobytu polskich sierot w Japonii można dziś obejrzeć w Izbie Tradycji w Domu PZKO w Nieborach.

Jak to się stało, że odnalazły się kolejne archiwalia dotyczące tej historii? Powód jest prozaiczny – pani Halicka natknęła się na nie podczas porządkowania rodzinnych zdjęć. Wśród pamiątek przekazanych

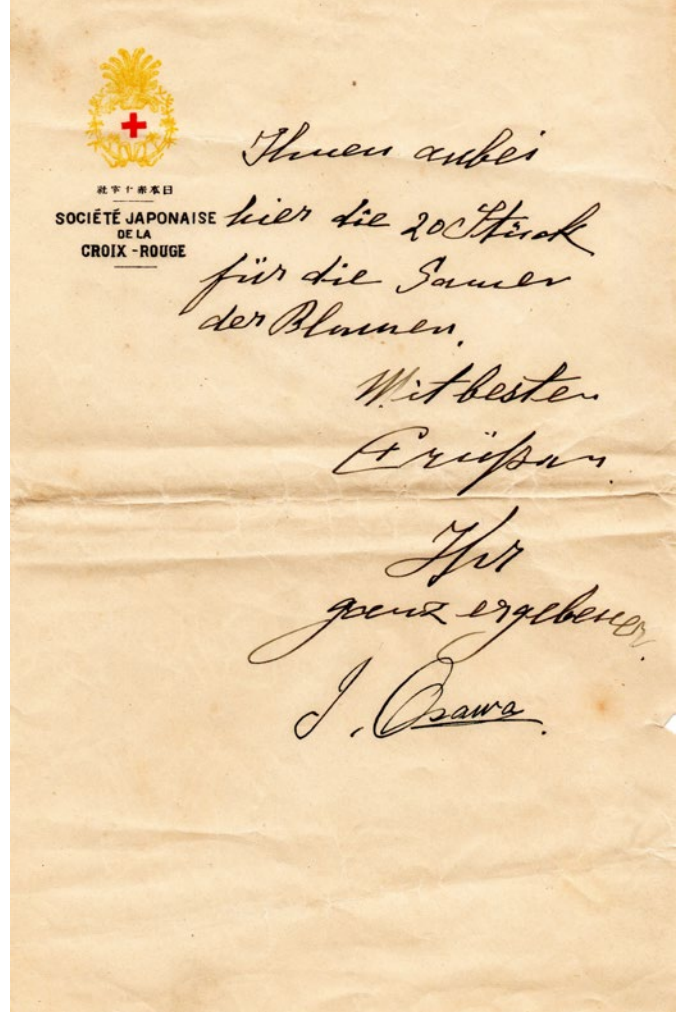
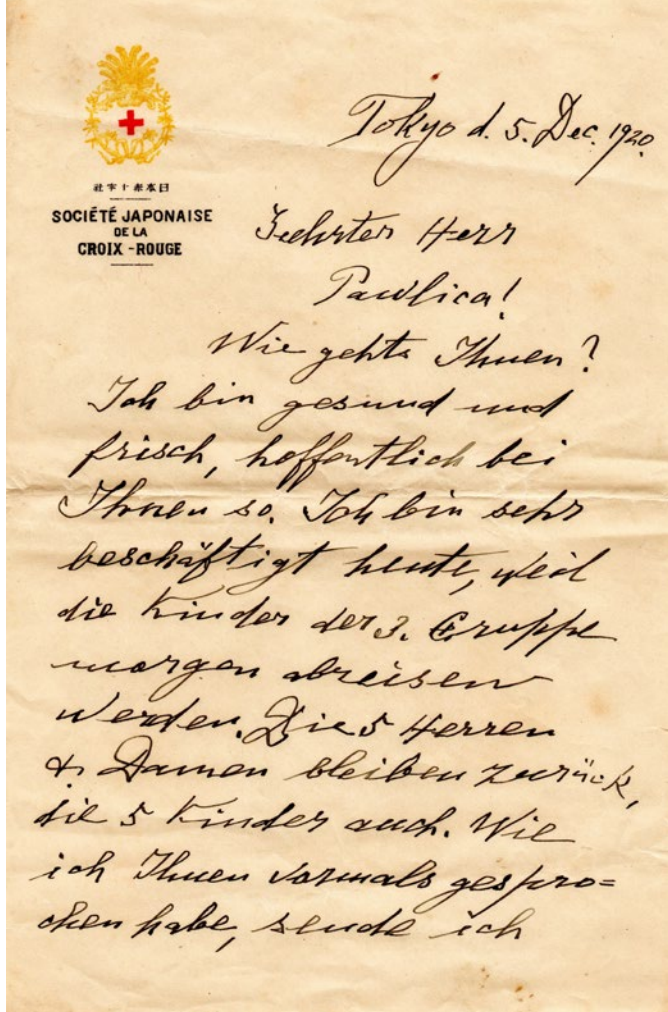
do Izby jest list w języku niemieckim do Pawlicy, napisany w Tokio 5 grudnia 1920 roku przez J. Osawę – dyrektora domu dziecka Fukudenkai, w którym polskie sieroty z Syberii znalazły schronienie podczas kilkumiesięcznego pobytu w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Wśród przekazanych archiwaliów jest również koperta zaadresowana do Karola Pawlicy z Polskiego Komitetu Ratunkowego we Władywostoku (oryg. Polish Relief Committee). Choć w kopercie nie ma listu, ona sama stanowi wyjątkowy dokument, ponieważ materialnych dowodów na istnienie Polskiego Komitetu Ratunkowego Dzieci Dalekiego Wschodu jest stosunkowo niewiele. Na szczególną uwagę zasługują też zdjęcia przedstawiające grupę dzieci i ich opiekunów – w tym Ichitę Okakurę, attaché prezydenta Japońskiego Czerwonego Krzyża.

Wśród przekazanych dokumentów są również dwie pocztówki przedstawiające japońskie pejzaże. Obie zostały wysłane 12 stycznia 1921 roku przez J. Osawę – dyrektora domu dziecka Fukudenkai w Tokio. Jedna pocztówka została zaadresowana do do Heleny Budzinowskiej, która pełniła funkcję przedstawiciela Komitetu Ratunkowego w Stanach Zjednoczonych, druga do byłej podopiecznej ośrodka Fukudenkai – nastoletniej Marii Wasilewskiej. Kartki prawdopodobnie zostały wysłane w koper-



Koperta zaadresowana do Karola Pawlicy z Polskiego Komitetu Ratunkowego we Władywostoku (oryg. Polish Relief Committee). Dokumentów potwierdzających istnienie Polskiego Komitetu Ratunkowego jest niewiele.



List J. Osawy, dyrektora domu dziecka Fukudenkai, do Karola Pawlicy z 5 grudnia 1920, Tokio.

tach, ponieważ nie ma na nich stempli pocztowych.

Możemy się jednak domyślić, że zostały one wysłane już do Ameryki. Wiemy, że w tym czasie Budzianowska – oraz inni opiekuno-

wie, wśród nich Karol Pawlica, wraz z Wasilewską oraz innymi dziećmi z pierwszego transportu przebywali już w Ameryce.

Ciekawostką, niezwiązaną z działalnością Komitetu Ratunkowego, jest kartka z ży-

ceniami dla Karola Pawlicy z okazji osiemdziesiątych piątych urodzin, podpisana przez kolegów, między innymi przez ks. Jerzego Cymorka i zaolziańskiego poetę Gustawa Przeczka. Życzenia napisane są wierszem i utrzymane w humorystycznej stylistyce:

*Z wsi, co się Niebory zowie,
Wyszli zacni Pawlicowie.
Każdy otwarty i szczerzy,
same złote charaktery.*

*Daleko w Szerokim Świecie
Pawliców spotkać możecie.
Lecz najwięcej nas zachwyca
stary radca Pawlica.*

*Jego zdrowie dziś pijemy,
Sto lat szczęścia Mu życzymy.
Niech Mu wiosna się zieleni,
może jednak się ożeni!*

Archiwalia przekazane przez panią Jadwigę Halicką nie są liczne, ale stanowią uzupełnienie poprzedniego zbioru. Dzięki niemu Izba Tradycji wzbogaciła się o kolejne eksponaty, które rzucają nowe światło na historię Karola Pawlicy – Samuraja z Nieborów.



Ichito Okakura w otoczeniu dzieci syberyjskich



Pocztówki wysłane przez dyrektora ośrodka Fukudenkai w Tokio – J. Osawę.

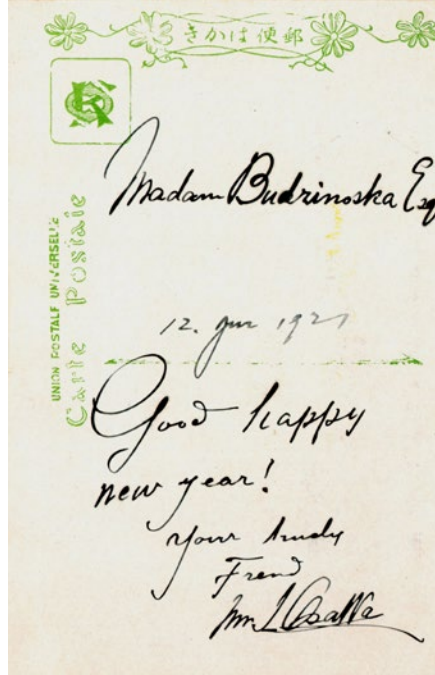
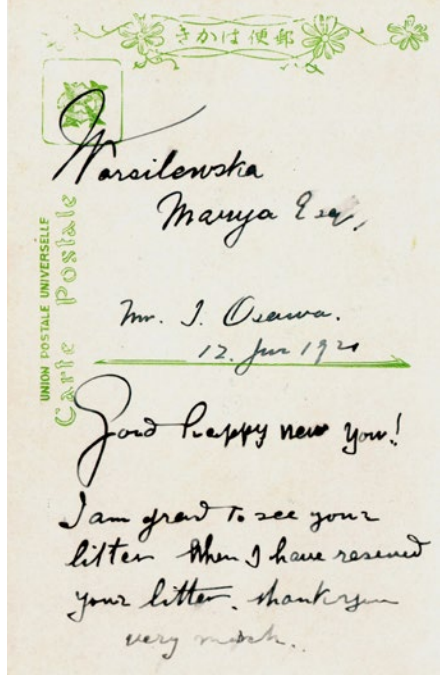


KAROL „SAMURAJ Z NIEBORÓW” PAWLICA (1884–1970) – polski działacz narodowy, agronom, ekonom, dyplomata, porucznik w cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgrów, działacz humanitarny.

Urodził się 12 marca 1884 roku w Nieborach. Był synem Karola Pawlicy (rolnika z Żukowa Górnego) i Anny Stonawskiej z Nieborów. Uczył się w szkole gospodarki rolnej w Kocobędzu. W latach 1900–1903 kształcił się w średniej szkole gospodarki rolnej w Horních Heřmanicach (niem. Ober Hermsdorf). Szkołę tę ukończył egzaminem maturalnym.

► Pocztówka ze zdjęciem dzieci w krakowskich strojach ludowych – prawdopodobnie są to podopieczni Polskiego Komitetu Ratunkowego.





Od 1904 roku pracował jako inspektor ekonomiczny w dobrach Larischa-Mönicha w Karwinie-Raju. W latach 1904–1914 był też zarządcą uzdrowiska w Darkowie.

W czasie I wojny światowej został zmobilizowany jako porucznik rezerwy cesarsko-królewskiej armii Austro-Węgier. W 1915 roku trafił do niewoli rosyjskiej i został zesłany do azjatyckiej części carskiej Rosji. Do zakończenia I wojny światowej przebywał najprawdopodobniej w obozie jenieckim w Szkotowie niedaleko Władywostoku. Od 1919 roku był członkiem Polskiego Komitetu Ratunkowego Dzieci Dalekiego Wschodu, którego celem było zorganizowanie ewakuacji polskich dzieci – w głównej mierze sierot i półsierot – z Rosji, która w tym czasie była ogarnięta rewolucją bolszewicką i wojną domową.

20 lipca 1920 roku Karol Pawlica wyruszył jako jeden z czterech opiekunów 56-osobowej grupy dzieci z Władywostoku do portu w Tsurudze w Japonii. Następnie wraz ze swoimi podopiecznymi przebywał w sierocińcu Fukudenkai w Tokio. W tym czasie Pawlica zajmował się również finansami Komitetu oraz prowadził rozmowy dotyczące transportu dzieci do Ameryki. 28 września 1920 roku Pawlica wyruszył z dziećmi japońskim statkiem handlowym do Stanów Zjednoczonych. Po dwóch tygodniach podróży cała grupa dotarła do portu w Seattle.

Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu w latach 1920–1923 uratował 877 polskich dzieci z terenów Syberii i Mandżurii. Większość dzieci przetransportowano statkami Japońskiej Marynarki Handlowej przez Japonię, USA i Anglię do Polski dzięki pomo-

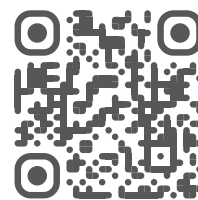
cy organizacyjnej i materialnej Japońskiego Czerwonego Krzyża i rządu japońskiego oraz Polonii Amerykańskiej. Karol Pawlica był opiekunem pierwszego transportu dzieci.

Po przyjeździe do Ameryki Pawlica przez krótki czas pracował w Konsulacie Generalnym w Chicago. Rozważał powrót na Śląsk Cieszyński, ale w związku z niepewną sytuacją polityczną i gospodarczą regionu, zdecydował się zamieszkać Polsce. W maju 1921 roku Ministerstwo Byłej Dzielnicy Pruskiej w Warszawie skierowało go do pracy w Wydziale Rolnictwa i Dóbr Państwowych Pomorskiego Urzędu Wojewódzkiego w Toruniu. Pięć miesięcy później Pawlica awansował do rangi radcy wojewody pomorskiego.

W połowie lat 30. Pawlica przeszedł na emeryturę i powrócił na Śląsk Cieszyński. Został członkiem Macierzy Szkolnej w Czechosłowacji. Jego los w czasie II wojny światowej jest nieznany. Po wojnie powrócił do rodzinnych Nieborów. Wstąpił do Miejscowego Koła Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Nieborach. Karol Pawlica zmarł 17 września 1970 roku. Został pochowany na cmentarzu w Nieborach.

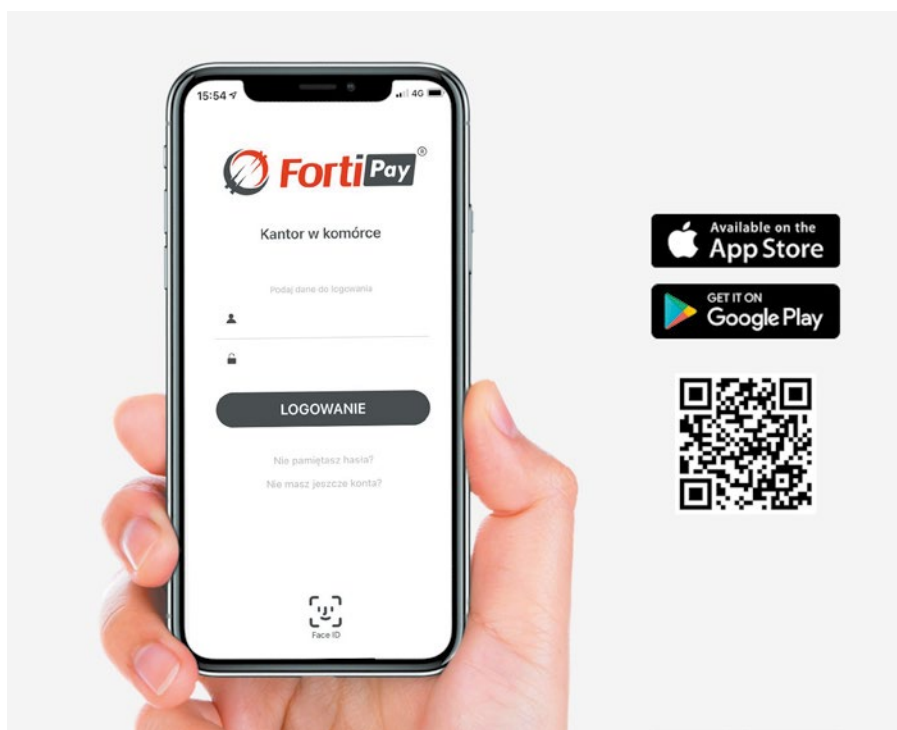


Z nami nic Ci nie umknie!



zwrot.cz/newsletter/

Polskie informacje z Zaolzia
dwa razy w tygodniu
w Twojej skrzynce mailowej





Na spacer po Dąbrowej zabrat mnie przez tamtejszego Miejscowego Koła PZKO
Petr Czapek.

[16] Dom Narodowy
– obecna siedziba MK PZKO

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

DĄBROWA

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA



Wyruszamy z przystanku autobusowego Dąbrowa, piekarnia (Doubrava, pekárna). Dojechać tutaj możemy albo autobusem, albo samochodem. Zaparkować można w okolicy przystanku, na dawnej pętli autobusowej. Mój przewodnik wyjaśnia, że od dawna autobusy tutaj nie zawracają, a jedynie zatrzymują się na zlokalizowanym przy jezdni przystanku i jadą dalej.

Faktycznie smakowity zapach świeżego chleba czuć już u drzwi niepozornego budynku. W efekcie ze spaceru wracam nie tylko z ciekawymi wiadomościami i porcją ruchu na świeżym powietrzu, ale także z pachnącym bochenkiem chleba.

Mój przewodnik uzupełnia, że piekarnia z powodu zmian ustrojowych miała przerwę w działalności w latach 1958–1964. Jednak

oprócz tego krótkiego okresu chleb wypiekany jest w niej od ponad stu lat i to wciąż w tradycyjnych piecach dających niepowtarzalny smak. W dodatku tradycja nie dotyczy tylko samej receptury i technologii wypieku chleba, ale także prowadzących ją piekarzy.

– Obecnie piekarnię prowadzi już piąta generacja rodziny pierwotnego właściciela – wyjaśnia Czapek.

PIEKARNIA Z HISTORIĄ I TRADYCJAMI

Pierwszym obiektem, o którym opowiada mi mój przewodnik, jest Piekarnia Komendir (fot. 01), nieopodal której się spotykamy. Wyjaśnia, że została założona w 1920 roku. – Wypiek chleba przeprowadzany jest w piecach parowych i rusztowych, które stoją tu od początku istnienia piekarni. Smak, zapach i wygląd dąbrowskiego domowego chleba są niepowtarzalne. Po chleb zjeżdżają klienci z szerokiej okolicy – wyjaśnia mój przewodnik.

[1] Piekarnia Komendir





[2] Miejsce, w którym kiedyś był teatr lalkowy



[3] Szosa prowadząca do Orłowej

WIEŚ DĄBROWA

Przy piekarni skręcamy w prawo, w stronę Orłowej. – *Jeśli chodzi o historię samej Dąbrowej, to jedna z pierwszych wzmianek o niej pojawia się w liście księcia Władysława Opolskiego z roku 1268 o założeniu w Orłowej filii opactwa klasztoru tyńkieckiego* – wyjaśnia mój przewodnik.

Mijamy sklep spożywczy, za którym skręcamy w prawo i zaraz w lewo. Idziemy wąską asfaltową drogą. Po obu stronach są łąki i zarośla. Nietrudno się domyślić, że idziemy dawną drogą przez wieś, gdzie niegdyś po obu stronach była gęsta zabudowa rodzinna. Potwierdza to mój przewodnik. – *Tu po lewej stronie stał teatr lalkowy – mój przewodnik wskazuje na łąkę (fot. 2). – A tutaj wszędzie były domy* – Czapek pokazuje na kolejne zarośla. – *Kiedy w roku 1959 zakładano PZKO w Dąbrowej, to na zebraniu założycielskim, które – taka ciekawostka – było 29 lutego – było 184 członków. Obecnie nasze Koto ma 43 członków. Z tego 5 członków powyżej 80 lat, 22 członków powyżej 70 lat, 6 członków powyżej lat 60 i 10 członków poniżej lat 60* – przytacza dokładne statystyki prezes MK PZKO Dąbrowa. Dodaje, że spośród tych

43 obecnych członków tylko 18 mieszka w Dąbrowej.

Z dawnej drogi osiedlowej wychodzimy na szosę prowadzącą do Orłowej (fot. 3). Czeka nas kilkaset metrów wędrowki skrajem jezdnii, chodnika brak. – *Tu, po lewej stronie, też kiedyś była gęsta zabudowa* – wyjaśnia Czapek. – *A ta droga w lewo – mój przewodnik wskazuje na szlaban broniący wjazdu do lasu (fot. 4) – prowadziła do portierni przy bramie towarowej kopalni.*

ROZDZIELNIA PRĄDU

– *Tutaj jest rozdzielnia prądu, w której zmienia się prąd wysokiego napięcia na niższe (fot. 5). Ciekawostką jest, że kiedyś w tym miejscu stał ośrodek zdrowia dla Dąbrowej. W swoim czasie był to jeden z najbardziej nowoczesnych wyposażonych ośrodków zdrowia w szerokiej okolicy. Był tu nawet rentgen* – wspomina mój przewodnik.

Kawałek dalej widzimy na trasie naszego spaceru pierwsze, odkąd minęliśmy piekarnię, zachowane zabudowania z czasów, kiedy Dąbrowa była tętniącą życiem górniczą osadą. – *To były zabudowania dla tech-*

ników (fot. 6) – wskazuje mój przewodnik. – Tych domów było tu chyba z dziesięć. Został tylko ten jeden – dodaje Czapek.

BRAMA DONIKĄD

– *Tu, gdzie widzimy po prawej stronie przystanek, – wskazuje mój przewodnik (fot. 7) – w kierunku, w którym jedzie ten samochód, stała gospoda. Nazywano ją Frloch. Przystanek był w miejscu, w którym jest obecnie – wspomina. Wtrącam, że pewnie w gospodzie tej górnicy po szybcie czekali na autobus. – Zdecydowana większość czekała na autobus, ale niektórzy w tej gospodzie czekali na następną szychtę* – prostuje, wspominając specyfikę górniczego środowiska sprzed lat.

Nie dochodzimy do wskazanego przystanku, a skręcamy w lewo. – *Idziemy w kierunku głównej bramy byłej kopalni Dąbrowa* – wyjaśnia mój przewodnik. – *Tutaj była portiernia – wskazuje na kępę krzaków (fot. 8). – Tu, po prawej stronie, był parking, a tam jest system odgazowania szybu Eleonora (fot. 9). Po lewej do samego terenu kopalni stały domki takie, jak ten jeden, który mijaliśmy* – wyjaśnia mój przewodnik.

[4] Droga do lasu, która kiedyś prowadziła do portierni przy bramie towarowej do kopalni



[5] Rozdzielnia prądu, w której zmienia się prąd wysokiego napięcia na niższe





[6] Dawne domy dla techników



[7] Przystanek, koło którego w czasach świetności kopalni była gospoda Frłoch

Okazuje się, że mój przewodnik pracował w kopalni Dąbrowa dziesięć lat. – *Od tego czasu, kiedy w 1993 roku odszedłem, nie byłem tutaj* – przyznaje. Wyjaśnia, że na emeryturę odchodził na początku 20. lat XXI wieku, ale w ostatnich latach pracował w kopalni Darków. Mając 62 lata jeszcze zjeżdżał pod ziemię. Oczywiście nie z kilofem w ręce, ale sprawując funkcje nadzorcze. W kopalni Dąbrowa pracował w latach 1982–1993 jako pracownik techniczny. Zaczynał jako mechanik odcinka, a kończył

jako kontroler kolejki zawieszanej. Ostatnie lata do emerytury natomiast przepracował w kopalni Darków jako diagnostyk techniczny.

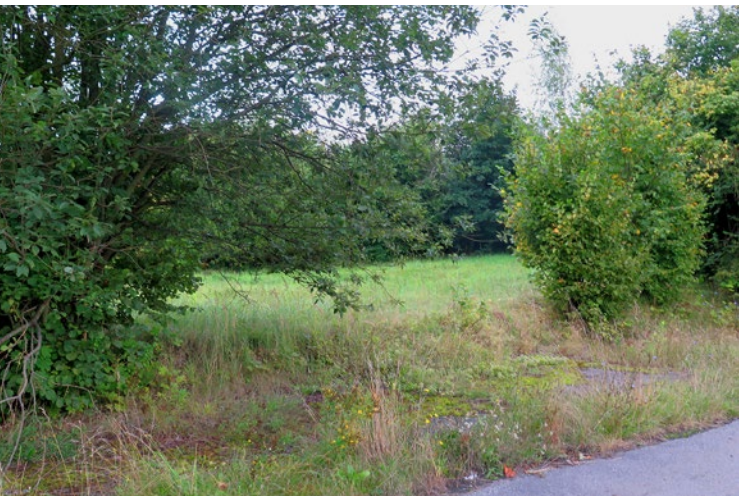
Mijamy szlaban broniący wjazdu na teren dawnej kopalni (fot. 10).

– *Tutaj był szyb „Betyna”*. Był to jeden z najgłębszych, jeśli nie najgłębszy szyb Zagłębia Karwińsko-Ostrawskiego. Był kilometr głęboki – wspomina mój przewodnik, który miał okazję do niego zjeżdżać, gdy tutaj pracowa-

wał. – *W sumie były tutaj dwa szyby. Betyna i Dąbrowa 1* – Czapek wskazuje na pustą łąkę (fot. 11). Następnie wycicza kolejne szyby: Dąbrowa 3 i 4. – *Szyb Dąbrowa 4 bodaj w 2004 roku sam zapadł się pod ziemię* – mówi mój przewodnik, który wcześniej wyjaśnił, że jeszcze do niedawna widać stąd było wysadzony 27 lipca szyb kopalni łązy w Orłowej. Obecnie z miejsca, w którym stoimy, gdyby była lepsza widoczność, byłoby widać góry – Beskidy z charakterystycznym szczytem Jaworowego.

[8] Miejsce, w którym była portiernia przy głównej bramie kopalni Dąbrowa

[9] System odgazowania szybu Eleonora ▼ ▼



[10] Szlaban broniący wjazdu na teren dawnej kopalni

[11] Tutaj były dwa szyby kopalni Dąbrowa: Betyna i Dąbrowa 1 ▼ ▼





[12] Droga, kiedyś łączyła szyby Dąbrowa II i Dąbrowa III kopalni



[13] Na skrzyżowaniach, na których droga się rozdwaja, wybieramy tę prawą

Wracamy do szlabanu i głównej drogi do Orłowej. W zasadzie przecinamy ją idąc na wprost. Gdybyśmy skręcili w lewo, w stronę Orłowej, to doszlibyśmy do „Dinoparku”. My skręcamy w prawo, w stronę, z której przyszliśmy. Jednak po kilkunastu krokach przechodzimy na drugą stronę jezdni i idziemy poła, choć asfaltową drogą (fot. 12) – *Tutaj wszędzie były murowane domki dla techników. Były z cegieł i nie były tynkowane* – mój przewodnik zatacza ręką krąg wskazując na otaczające nas ze wszech stron zarośla.

Idziemy poła drogą, która kiedyś łączyła szyby Dąbrowa II i Dąbrowa III kopalni. Mój przewodnik wspomina, że kiedy tu pracował i musiał zjechać na dół coś skontrolować, to czasem przynajmniej w jedną stronę szedł na dane miejsce po powierzchni, zamiast podziemnym korytarzem.

Idąc asfaltową drogą napotykamy kilka skrzyżowań. Na pierwszym, wyglądającym nieco jak parking, gdzie trasa rozgałęzia się na trzy drogi, idziemy tą środkową. Również na kolejnym potrójnym rozgałęzieniu dróg wybieramy środkową. Na następnych dwóch skrzyżowaniach, na któ-

rych droga się rozdwaja, w obu przypadkach wybieramy tę prawą (fot. 13).

Idziemy w pierw między nieużytkami. W miarę zbliżania się do centrum Dąbrowej po obu stronach drogi jest coraz więcej domków letniskowych. Dochodzimy do głównej drogi.

DRZEWIÓNKA

Gdy dochodzimy do szosy, skręcamy w prawo. Po prawej stronie jest jezioro. Nad jego brzegiem stoi dom z bali, tak zwana „Drzewiówka” (fot. 14).

– *Jest to unikatowy, dobrze zachowany obiekt architektury ludowej na terenie zagłębia Ostrawsko-Karwskiego. Jej wartość polega nie tylko na tym, że stanowi ona zachowany dowód tradycyjnej architektury, ale także ma związek z historycznym rozwojem wsi. Dąbrowska „drzewiówka” jest podobno pierwszą szkołą w Dąbrowej – wyjaśnia mój przewodnik. Dodaje, że została ona przesunięta o kilkadziesiąt metrów, gdy obniżenie terenu powstałe na skutek szkód górniczych zaczęło wypełniać się wodą i stało się jeziorciem.*

DOM NARODOWY

Idziemy główną drogą w stronę centrum. Rosnące na łąkach i nieużytkach po lewej stronie drogi jabłonki (fot. 15) wskazują na to, że niegdyś ciągnęła się tutaj zabudowa rodzinna. Mój przewodnik zdradza, że w planach jest ponowne dopuszczenie tego terenu do zabudowy. Badania wykazały bowiem, że teren nie będzie już się zapadać.

Zbliżamy się do centrum wsi. Pierwszym budynkiem, jaki widzimy po lewej stronie, jest Dom Narodowy (fot. 16, str. 36). Mój przewodnik podkreśla, że jest ważnym ośrodkiem kultury w Dąbrowej. – *Z jego pomieszczeń korzystają głównie miejscowe stowarzyszenia i organizacje. Na początku XX wieku w Dąbrowie brakowało odpowiednich lokali do prowadzenia działalności społecznej. Lokalne organizacje i stowarzyszenia dały impuls do budowy Domu Narodowego. Plany przygotował budowniczy Miroslav Martinec. Uroczyste otwarcie, które według zachowanych źródeł miało być bardzo spektakularne, odbyło się 3 i 4 października 1903 roku. W Domu Narodowym odbywa się wiele wydarzeń towarzyskich i kulturalnych. Do niedawna była tu czynna*

[14] „Drzewiówka”



[15] Rosnące na łąkach i nieużytkach po lewej stronie drogi jabłonki wskazują na to, że niegdyś ciągnęła się tutaj zabudowa rodzinna





[17] Najprawdopodobniej najstarszy dom w Dąbrowej



[18] Zamek

restauracja – opowiada o obecnie najważniejszym, z punktu widzenia PZKO budynku, mój przewodnik. – *Znajduje się tu siedziba MK PZKO. Wcześniej mieliśmy siedzibę w dawnej polskiej szkole, którą budowała Macierz Szkolna. Kiedy zburzono szkołę, to oddaliśmy parcelę gminie, a za to otrzymaliśmy na zawsze prawo do korzystania z pomieszczeń w Domu Narodowym* – wyjaśnia satysfakcjonujący obie strony układ z gminą prezes MK PZKO.

Po prawej stronie mijamy najstarszy budynek w Dąbrowej (fot. 17), a kawałek dalej, po lewej – zamek (fot. 18). – Zamek został zbudowany w 1760 roku przez Františka Ludvíka. Na parterze znajdowały się pomieszczenia gospodarcze, na piętrze kaplica domowa i mieszkania właścicieli. Do budynku zamku przylega przybudówka, która w przeszłości pełniła funkcję więzienia dworskiego z kamienną tawą, na której wykonywano chłostę niepokornych chłopów. W 2015 roku zamek przeszedł na własność gminy i objęty jest ochroną jako

zabytek kultury, choć jest w opłakanym stanie – mój przewodnik wskazuje opisywany budynek.

FIGURA ŚW. JANA NEPOMUCENA

Mijamy zamek (po lewej) i rynek (po prawej) i idziemy prosto, by po chwili na skrzyżowaniu skręcić w lewo. Podeszliśmy tutaj, by zobaczyć figurę św. Jana Nepomucena (fot. 19). Jak wyjaśnia mój przewodnik postać świętego naturalnej wielkości ustawiono tu w 1871 roku a odrestaurowano w 2013 roku.

RYNEK

Obejrawszy rzeźbę wracamy na rynek (fot. 20). – Na rynku mamy różne sklepy, klub dla dzieci, gospodę. Obecnie jest otwarta, choć wcześniej, gdy funkcjonowała gospoda w Domu Narodowym, ta tutaj była zamknięta. Mówię o czasach niedawnych.



[21] Pomnik ofiar 1. wojny światowej

[19] Figura św. Jana Nepomucena



[20] Rynek





[22] Tablica upamiętniająca ofiary wojny przeniesiona na rynek ze zburzonego budynku dawnej polskiej szkoły



[25] Dzwon upamiętniający ofiary wypadków górniczych

Bo kiedyś, jak jeszcze pracowałem w kopalni Dąbrowa, to kiedy z kolegami chcieliśmy sobie w spokoju usiąść i porozmawiać, chodziliśmy tutaj. Była tu gospoda „U Franka”. Kiedyś budynek ten był większy. Miał wielką salę balową, swojego czasu funkcjonowało tutaj także kino – mówi o historii lokalu mój przewodnik.

POMNIK OFIAR WOJEN

Przed budynkiem Urzędu Gminy upamiętniono ofiary obu wojen światowych (fot. 21). – Ta tablica w języku polskim (fot. 22) kiedyś była w polskiej szkole. Kiedy szkołę burzono, to wójt gminy umieścił ją tutaj – opowiada o losach tablicy prezes MK PZKO.

Nieopodal ustawiona jest także gminna interaktywna tablica informacyjna (fot. 23). Kto odczuwa niedosyt informacji o miejscowości, może je na niej znaleźć.

[23] Gminna interaktywna tablica informacyjna



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI ŚW. JADWIGI

Z rynku idziemy w stronę kościoła św. Jadwigi (fot. 24). – Wybudowano go pod koniec XIX wieku. Dzięki rozwojowi górnictwa węgla kamiennego w naszej wsi wzrosła także liczba wiernych, a co za tym idzie zapotrzebowanie na kościół. Dąbrowa należała do parafii w Orłowej, lecz Orłowski kościół nie był w stanie pomieścić wszystkich wiernych. Budynek zaprojektował architekt

[24] Kościół św. Jadwigi



i budowniczy Bedřich Fulda z Cieszyna. Poświęcenie kamienia węgielnego odbyło się 30 września 1894 r., a całą budowę ukończono w 1898 r. Kościół został uroczystie poświęcony 15 października 1898 r. Było to święto św. Jadwigi, stąd patronat nad kościołem sprawuje ta właśnie święta. Na prośbę mieszkańców Dąbrowy stał się kościołem parafialnym, a wieś Dąbrowa samodzielną parafią – wyjaśnia mój przewodnik.

Obok kościoła ustawiony jest dzwon upamiętniający ofiary wypadków górniczych (fot. 25).



[26] Zachowana zabudowa dawnej głównej ulicy biegnącej od rynku



[27] Pomnik poświęcony ofiarom wypadków w kopalni „Dąbrowa”

Od rynku idziemy ulicą z zachowaną dawną zabudową (fot. 26) – Obecnie są tutaj gminne mieszkania i czynna dwa razy w tygodniu przychodnia lekarska. W jednym z budynków była filia fabryki „Tesla” – wyjaśnia mój przewodnik.

CMENTARZ

Idąc od rynku dawną główną drogą dochodzimy do cmentarza. Wchodzimy na teren nekropolii, której zdecydowaną dominantą jest pomnik poświęcony ofiarom wypadków w kopalni „Dąbrowa” (fot. 27). – Spoczywają tutaj moi koledzy. Byłem wtedy na dole. Do tego wybuchu doszło o jeden pokład niżej, niż ten, na którym ja w tamtym momencie pracowałem... – wspomina traumatyczne przeżycia mój przewodnik wskazując na jedną z umieszczonych w pomniku tablic pamiątkowych (fot. 28).

Odwiedzamy też grób Aleksandra Hanzela, długoletniego prezesa MK PZKO (fot. 29).

KOŚCIÓŁ HUSYCKI

Cmentarz opuszczamy przeciwległą bramą. Skręcamy w lewo. Idziemy drogą, przy której usytuowana jest głównie zabudowa

letniskowa, ale niektóre domy są także całoroczne. Na końcu ulicy, przy kościele husyckim (fot. 30), skręcamy w lewo.

– Kościół husycki został zbudowany w Dąbrowie w 1928 roku przez architekta i budowniczego Čeňka Volného, byłego legionistę włoskiego. Kościół należy do Czechosłowackiego Kościoła Husyckiego, który w latach 1921–1928 sfinansował jego budowę ze składek miejscowych wiernych. Decyzją Ministra Kultury z dnia 15 listopada 2001 roku kościół został uznany za zabytek kultury. Budynek kościoła przeszedł kilka przebudów i wiele napraw. Z okazji rocznicy siedemdziesięciolecia kościoła przeprowadzono generalny remont obejmujący zabezpieczenie fundamentów przed skutkami działalności górniczej. Wewnątrz znajdują się organy znanej marki Rieger-Kloss z Kralnova. Podczas koncertów wykorzystywana jest doskonała akustyka kościoła – mówi mój przewodnik dodając, że wielokrotnie na koncertach w kościele tym bywa.

MIEJSCE PO DAWNEJ POLSKIEJ SZKOLE I SIEDZIBIE MK PZKO

Idąc w dół przed sobą mamy gmach czeskiej szkoły zamykający widok z ulicy, którą idziemy. Skręcamy w prawo. Po chwili



[30] Kościół husycki

[28] Tablice upamiętniające ofiary wypadków w kopalni Dąbrowa



[29] Grób Aleksandra Hanzela, długoletniego prezesa MK PZKO





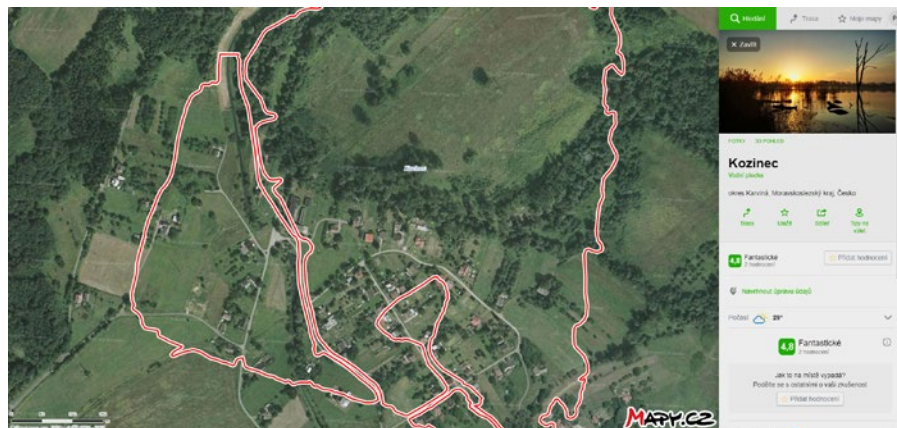
[31] Miejsce, w którym stała polska szkoła, późniejszy Dom PZKO



[33] Skan zdjęcia dawnej polskiej szkoły



[32] Petr Czapek pokazuje w kronice zdjęcia Domu PZKO, który niegdyś stał w tym miejscu



[34] Widok lotniczy na portalu mapy.cz na część Dąbrowej Kozinec z roku 2003



[35] Współczesny widok lotniczy na portalu mapy.cz na staw Kozinec

zatrzymujemy się przed niezabudowaną działką z kilkoma drzewami (fot. 31). Mój przewodnik wyciąga Kronikę MK PZKO Dąbrowa i pokazuje stare zdjęcia (fot. 32/33). To tutaj stał wzniesiony w 1920 roku przez Macierz Szkolną budynek polskiej szkoły, który później był siedzibą Miejscowego Koła PZKO. Opowiada o organizowanych tu, przy Domu PZKO wspaniałych festynach ogrodowych. Ale też o różnorodnych kłopotach związanych z utrzymaniem Domu – od konieczności koszenia terenu i to w czasach, gdy robiło się to

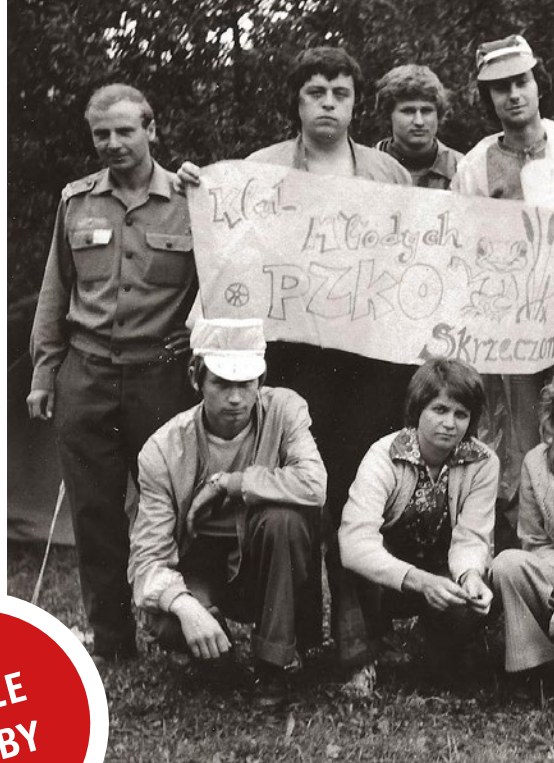
kosą, poprzez konieczność palenia dwa dni przed planowaną zimową imprezą w kafelkowych piecach, na kosztach utrzymania i remontowania budynku kończąc.

– A tutaj obok mieszkał gospodarz Domu PZKO – mój przewodnik wskazuje na kolejną pustą działkę.

Mijamy gospodę, po czym wychodzimy na główną drogę przy sklepie, który mijaliśmy na samym początku naszego spaceru. Przed sobą mamy piekarnię Komendir. Skręcamy przy niej w lewo by po chwili

znaleźć się w miejscu, w którym zaczynaliśmy nasz spacer.

Za nami 7 km spaceru. Właściwie tutaj go kończymy. Jednak mój przewodnik wspomina o pewnej wartej uwagi ciekawostce. – Nieopodal jest staw Kozinec. Mógłbym opowiadać, jak to kiedyś był to teren gęsto zabudowany, ale ja może pokażę mapę. Gdy na portalu mapy.cz przetączyliśmy na mapę lotniczą z początku tego wieku, zobaczymy gęstą zabudowę – Czapek pokazuje widok lotniczy na mapy.cz z 2003 roku (fot. 34) oraz obecnie (fot. 35).



NASZE
KLUBY

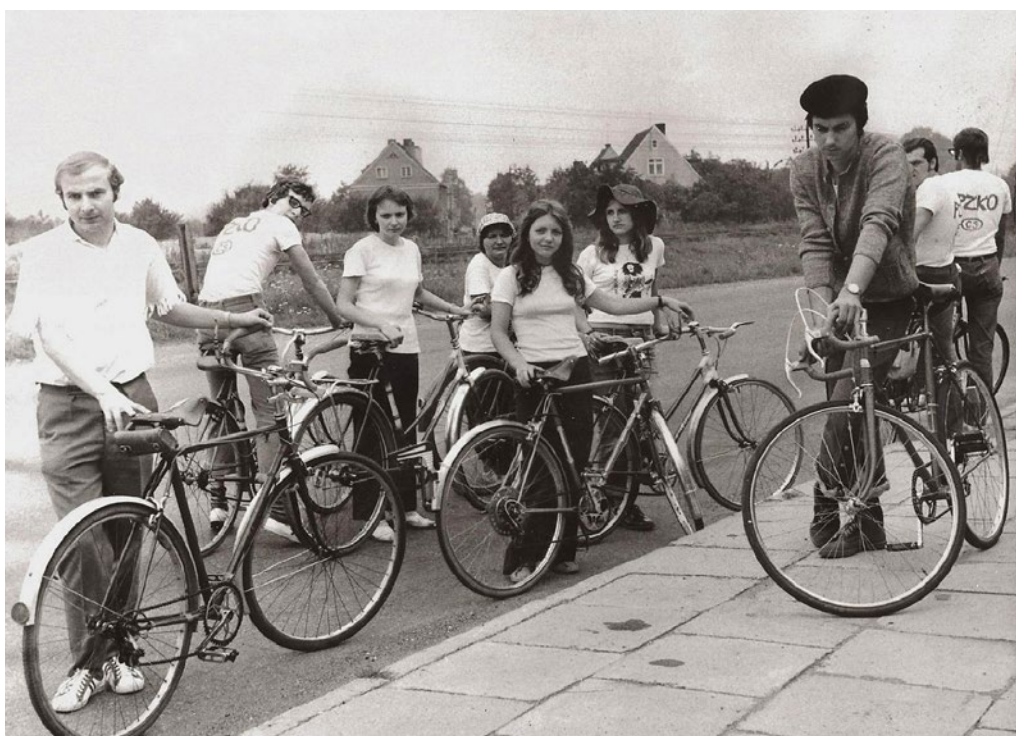
KLUB MŁODYCH PRZY MIEJSCOWYM KOLE PZKO W BOGUMINIE SKRZECZONIU

TEKST: BEATA INDI TYRNA / ZDJĘCIA: ARCHIWUM KLUBU

Przy Miejskowym Kole PZKO Bogumina Skrzeczonia funkcjonuje Klub Młodych. O jego działalności, a także o przechodzącej z pokolenia na pokolenie tradycji udzielania się w PZKO opowiada Małgorzata Grzebień – prezes klubu.

Od kiedy istnieje Klub Młodych przy miejscowym kole PZKO?

Klub Młodych przy naszym kole istniał bardzo długo. W latach 1947–1952 młodzież w Skrzeczoniem była zrzeszona w Stowarzyszeniu Młodzieży Polskiej, następnie w ramach skrzeczoniańskiego Koła młodzi aktywnie udzielali się w ramach chóru *Hasło*, zespołu teatralnego *Świt*, zespołów muzycznych *Meteor* oraz *Krater*, był również zespół taneczny. Samodzielnie Klub Młodych bardzo aktywnie działał zwłaszcza w latach 70. i 80., organizując własne imprezy – wycieczki, spotkania klubowe. Byli w nim mocno zaangażowani nasi dziadkowie, rodzice. Jednak później na chwilę działalność została przerwana. Stwierdziliśmy z moim bratem i kuzynami, że chcielibyśmy to odnowić, pójść śladami naszych





rodziców. Pomysłem przewodnim było zorganizowanie spływu kajakowego po Olzie z Dzieńmorowic do Wierzniowic. Plany były już wcześniej, ale ze względu na suszę musieliśmy termin przenieść na następny rok, tak więc faktyczny spływ udało nam się zorganizować dwa lata temu. Od tego momentu wznowiliśmy działalność obecnego Klubu Młodych.

Jak wygląda wasza działalność teraz? Co robicie w ramach Klubu Młodych?

Staramy się wspierać nasze koło PZKO przy różnych akcjach. Klub Młodych uczestniczy już w samych przygotowaniach imprez.

Staramy się pomagać w przygotowaniu tematycznych dekoracji, zaproszeń, przy dekorowaniu sali itp. Podczas imprez Koła prowadzimy mini kawiarenkę. Oferujemy nie tylko zwykłą kawę, ale też różne bardziej wyszukane, jak cappuccino, espresso, czy w sezonie letnim espresso tonic, które jest bardzo popularne. Jesteśmy w barze, serwujemy drinki na balach.

Staramy się unowocześniać nasze działania, wprowadzać coś innego, żeby zachęcić inne osoby do udziału w naszych wydarzeniach. Zachęcam też do śledzenia naszego fanpejdza na Facebooku, który prowadzi Justyna Wojwoda (PZKO Bogumin-Skrzeczoń). Zamieszczane zdjęcia z przeróżnych imprez czy

wycieczek przesyłają również członkowie Koła, bez względu na wiek. A motorem napędowym naszej działalności jest to, że osoby postronne dziękują nam, że strona na Facebooku prędko działa, bo nawet siedząc w domu, mogą być z nami. Justyna często udostępnia relacje online. To jest świetne.

Organizujecie jakieś spotkania tylko dla siebie, czy też wasza działalność skupia się głównie na wsparciu większych imprez całego Koła?

Nie spotykamy się regularnie, bo jest nas mało, ale jeśli już, to chłopaki spotykają się w naszej salce na górze, gdzie mamy bilard.





Moja kuzynka, Justyna, na każdej akcji organizuje kącik dla dzieci, żeby najmłodszy mieli się gdzie pobawić. Kącik też jest pod opieką Klubu Młodych. Jusia w ten sposób stara się zachęcić rodziców, żeby przychodzili na nasze spotkania ze swoimi dziećmi. I chyba robi to dość skutecznie, bo widać, jak dużo młodych pojawia się na imprezach Koła.

Jak długa była przerwa w działalności Klubu Młodych przy Miejsowym Kole PZKO w Skrzeczoniu? Jest pani pierwszą jego przewodniczącą po reaktywacji?

Praktycznie przez około 30 lat nie było żadnego Klubu Młodych. Całe jedno pokolenie było bez klubu. Członków było za mało, wszyscy rozjeżdżali się na studia, do Polski, Brna, Pragi. Regularne spotkania były niemożliwe, więc naturalnie, gdy stwierdziliśmy, że nie mamy nic do stracenia, postanowiliśmy spróbować to ożywić. Chłopaki z klubu mają kontakty, więc udało się nam zorganizować kilka fajnych rzeczy.

Czy działalność w PZKO była dla Pani czymś naturalnym, co towarzyszy Pani od dziecka?

Tak, dokładnie. Można powiedzieć, że z dziada-pradziada. Mój dziadek, Albert Grzebień, był długoletnim prezesem koła PZKO tutaj w Skrzeczoniu, potem skarbnikiem. Pateczkę przejął wujek, który obecnie jest nie tylko skarbnikiem, ale również prezesem Koła, a moja mama jest wiceprezesem. Naturalną siłą rzeczy, zawsze byliśmy prowadzeni, żeby

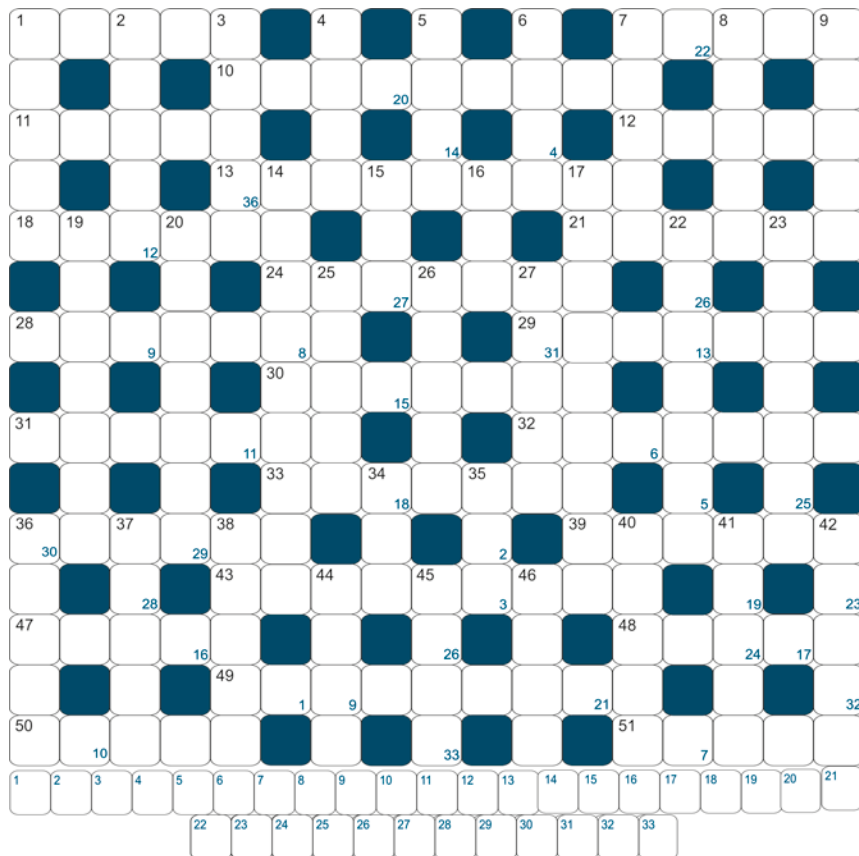


wspierać nasze koło. Nie mogło być inaczej. Od dziecka uczono nas, że trzeba uczestniczyć, trzeba się udzielać.

Mówi Pani, że „trzeba”, ale przecież nie musicie. Jednak chcecie to robić... Dlaczego? Co skłania was do angażowania się w działalność społeczną na rzecz PZKO?

Dokładnie, nie musimy. Ale jeśli ktoś wyraźnie stał w tym od dziecka, to chyba jakoś tak naturalnie czuje taką potrzebę. Myślę, że to fajne, że jako Klub Młodych wprowadzamy też nowe inicjatywy. To pokazuje, że chcemy, potrafimy, i nawet nam to nieźle wychodzi.





POZIOMO:

1. wielki zamknięty obszar wodny
7. potajemne porozumienie
10. maszyna do obróbki lnu
11. jednostka obiadu
12. zgrana szajka
13. swoistość
18. bursztyn
21. nieprzebrana gromada
24. patyczek z siarczanym lepkiem
28. z kółkiem do pary
29. małe niedociągnięcie
30. słodka bułka nadsziewana powidłami
31. drążek do dźwigania wiader
32. w europejskiej części Rosji leży
33. harmonijka ustna
36. wojenny okręt żaglowy
39. dawna jednostka masy
43. główny amerykański poligon rakietowy
47. sprzęt do transportu rannych
48. król Wizygotów
49. mieszka w Luandzie
50. oprzęd jedwabnika
51. szlak komunikacyjny

PIONOWO:

1. polski zbój
2. znany amerykański film
3. miasto gdzie cesarz Aureliian pokonał królową Palmiry
4. niekiedy opadają
5. najwyższe w Europie
6. uniesione w zdziwieniu
7. polecenie zabraniające
8. zasiany przez górali
9. meksykański sukulent
14. część aparatu fotograficznego
15. wykastrowany baran
16. lina do podnoszenia żagla
17. piękna rosyjska dziewczyna
19. nad głową świętego
20. region w Szkocji
22. materiał do krycia dachów
23. drugi leb nitu po zakuciu
25. gra w filmie
26. wchodzi w skład Antyli Holenderskich
27. ptak z rodziny siewek
34. zabawa towarzyska
35. periodyk Urbana
36. przybudówka przed wejściem do budynku
37. rudy *Chytrusek*
38. Atlantyk
40. wybrany król do czasu koronacji
41. ustalona zasada
42. służy do mocowania żagli
44. kończyna dolna
45. nieżyjący już znany czeski aktor
46. niszczy żelazo

ROZWIĄZANIE DODATKOWE (Młodociany detektyw na tropie) Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przysyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 października 2024**.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 8/2024: Szatan z siódmej klasy.

Nagrodę, bon do Vinotéki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Joanna Szpyrc z Ligotki Kameralnej. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB
**NAJLEPSZE
WINA W
CENTRUM
CZESKIEGO
CIESZYNA**

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

13 W Cieszynie uroczystie obchodzono 200. rocznicę urodzin Pawła Stalmacha, wybitnego dziennikarza, publicysty i działacza narodowego, który odegrał kluczową rolę w rozwoju polskiej świadomości narodowej na Śląsku Cieszyńskim. Uczestnicy, w tym przedstawiciele władz, złożyli kwiaty pod jego pomnikiem, przypominając o jego działalności w Macierzy Szkolnej oraz wkładzie w tworzenie polskiego szkolnictwa. W uroczystościach wzięła udział również prezes ZG PZKO Helena Legowicz. ▼



16 Odbył się 5. Rajd Nocny Beskidu Śląskiego zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Turystyczno-Sportowe Beskid Śląski. Trasa o długości 18 km prowadziła z Nydku do Trzyńca. Udział w rajdzie wzięło 16 uczestników w wieku od 13 do ponad 70 lat. Nocna wędrówka po górach była wyjątkowa ze względu na bezchmurne niebo i pełnię księżyca. Rajd zakończył się w Domu PZKO w Trzyńcu-Końskiej, gdzie uczestnicy zjedli śniadanie i odpoczęli po całonocnym marszu. ▼



18 W Lesznej Dolnej odbył się 18. Przegląd Kapel Ludowych z Trójstyku, w którym uczestniczyły zespoły z Polski i Czech. Wystąpiły trzy kapale: Lipka z Jabłonkowa, Wakasi z Istebnej oraz Cimbálová muzika Úsměv z Ostrawy. Swoje dzieła na miejscu prezentował i sprzedawał Tadeusz Szkucik – rzeźbiarz, który może się pochwalić marką Górolski Swobody. ▼



24 W Nydku odbyła się coroczna impreza Strziganie owiec, podczas której ostrzyżono 250 zwierząt. Zorganizowano także mistrzostwa w strzyżeniu, które wygrał Michał Staszowski, przeprowadzając strzyżenie owcy za 57 sekund. Wydarzeniu towarzyszyły występy zespołów folklorystycznych Trombitáši Šefánikovci, Cimbálová Muzika „Bečva” oraz kapela Bezmiana. Tancerze zespołu Bystrzyca zaprezentowali dynamiczny taniec z regionu Myjava na Słowacji. Na uczestników czekały tradycyjne potrawy, w tym gulasz z baraniny. Organizatorami imprezy byli: Miejskowe Koło PZKO w Nydku, gmina Nydek, SCHOK oraz nydeccy gazdowie z Michałem Milerskim na czele. ▼



24 W Milikowie odbyła się pierwsza edycja przeglądu Rockowani pod Gróniami, która przyciągnęła do Domu PZKO Milików-Centrum miłośników rocka. Wystąpiły zespoły The Silhouettes, Kryzys, Ampli Fire, Arzia i BC/DD. Impreza cieszyła się dużym zainteresowaniem fanów. Uczestnicy mogli także skosztować dań o rockowych nazwach, jak rockówka czy rock dogi. Zespoły otrzymały specjalne pamiątkowe tace z napisem Rockowani pod gróniami oraz nazwą zespołu. Autorem tych wyjątkowych tacek był Dawid Haratyk. ▼



25 Finały turnieju Battle for Zaolzie w grze League of Legends po raz pierwszy odbyły się na żywo w Domu PZKO w Nawsiu. Publiczność miała okazję oglądać finałowe zmagania na ekranie projekcyjnym. W finale drużyna Kukinasmokina pokonała drużynę Obchodnicy 3:1, wygrywając turniej. Komentatorami byli Denis Wacławek, Marek Foniok oraz organizator Adam Maksymilian Hajduk. ▼



25 W Gutach odbyły się 56. Dożynki Śląskie, których gospodarzami byli Helena Legowicz, prezes ZG PZKO, wraz z mężem. Uczestnicy mogli podziwiać tradycyjny korowód dożynkowy prowadzony przez zespół *Oldrzychowice* oraz występy folklorystyczne. Goście mieli okazję spróbować regionalnych potraw przygotowanych przez działaczy Miejsowego Koła PZKO w Gutach, które jest organizatorem dożynek. Wśród gości byli m.in. Stanisław Bogowski – Konsul RP w Ostrawie, Věra Palkovská – prezydent miasta Trzyńca, pastor Bohdan Taska. W części artystycznej wystąpił Zespół *Suszanie* z Suchej Górnjej. Zagrała orkiestra dęta *Jablunkovanka*, która wcześniej także towarzyszyła korowodowi. Uczennice ze Szkoły Podstawowej im. Jana Kubisza w Gnojniku zaśpiewały znane utwory polskiej muzyki rozrywkowej. Wystąpiła także kapela *Pniok*. V. Palkovská wręczyła Janowi Kalecie, prezesowi MK PZKO Guty, Medal Pamiątkowy Miasta Trzyńca za jego wieloletni wkład w organizację dożynek. ▼



26-27 Centrum Pedagogiczne dla Polskiego Szkolnictwa Narodowościowego w Czeskim Cieszynie zorganizowało warsztaty dla nauczycieli, które skupiały się na nowoczesnych metodach nauczania, takich jak plan daltoński i wykorzystanie komiksów. Nauczyciele uczyli się, jak wprowadzać kreatywne metody, aby motywować uczniów do nauki i wspierać ich samodzielność oraz współpracę. Warsztaty miały na celu rozwój kompetencji pedagogicznych i lepsze dostosowanie metod nauczania do współczesnych potrzeb edukacyjnych. ▼



31 W Błędowicach odbyły się tradycyjne dożynki organizowane przez Miejsowe Koło PZKO w Hawierzowie-Błędowicach. Gospodarzami byli Artur i Wanda Grudzińscy, a przodownikami byli Jarek Hekera i Jola Iwanuszek. Uroczystość rozpoczęła się barwnym korowodem. Na scenie wystąpiły zespoły regionalne: *Mali Błędowianie* oraz *Błędowice*, *Hlubina* z Ostrawy oraz *Vonička*. Dożynkom towarzyszyła loteria z atrakcyjnymi nagrodami. Imprezę zakończyła zabawa przy muzyce kapeli *Bezmiana*. ►

31 Członkowie Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego z Lutyni Dolnej odbyli krajoznawczą wycieczkę do Karniowa i Bruntalu. Zwiedzili m.in. Willę

Flemmicha, kościół św. Ducha oraz unikalną synagogę w Karniowie. W Bruntalu podziwiali zamek z renesansowym dziedzińcem i wieżą zegarową, oraz galerię z dziełami mistrzów z XVI-XVIII wieku. ▼



31 W Oldrzychowicach odbyły się *Dożynki na Fojstwiu*. Gospodarzami w tym roku byli Dorota i Marek Gryczowie. Wydarzenie rozpoczęło się tradycyjnym korowodem oraz paradą maszyn rolniczych. Na scenie zaprezentowały się *Male Oldrzychowice*, Zespół Pieśni i Tańca *Olza*. Wystąpili też wędrownicy *Gimnaści*. Swoją obecnością zaszczytili dożynki między innymi konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Ostrawie Stanisław Bogowski, wicehetman województwa morawsko-śląskiego Stanisław Folwarczny, Prezes Zarządu Głównego PZKO Helena Legowicz oraz prezydent miasta Trzyńca Věra Palkovská. Wieczorem uczestnicy dożynek świetnie bawili się podczas koncertu zespołu *Arzia*. ▼



PAMIĄTKA RODZINNA

KARTKA POCZTOWA Z FOTOGRAFIĄ PRZEDSTAWIAJĄCĄ GRUPĘ DZIECI Z OPIEKUNAMI,
1920 R., JAPONIA

Własność: Jadwiga Halicka / Opis: Sylwia Grudzień



Fotografia czarno-biała wydrukowana w postaci pocztówki (na odwrocie jest wydzielone miejsce na adres, tekst wiadomości i znaczek pocztowy). Przedstawia grupę szesnaściorą dzieci w wieku od około drugiego do piętnastego roku życia. Pośrodku grupy siedzi Japończyk w średnim wieku, z gęstym wąsem, którego końcówki wywinięte są do góry. Mężczyzna ubrany jest w jasną koszulę, krawat i kamizelkę. W ostatnim rzędzie stoją trzy dorosłe osoby: wysoki, szczupły mężczyzna w garniturze i dwie kobiety ze związanymi włosami i w jasnym bluzkach. Zdjęcie zostało wykonane w ogrodzie. W oddali widoczna dziewczynka – Japonka w ciemnym kimonie.

Zdjęcie zostało wykonane w drugiej połowie 1920 roku w Japonii (najprawdopodobniej w Tokio). Przedstawia tzw. dzieci syberyjskie – polskie dzieci ewakuowane z Rosji przez Polski Komitet Ratunkowy Dzieci Dalekiego Wschodu. Japończyk w środku to Ichito Okakura – attaché prezydenta Japońskiego Czerwonego Krzyża. Dorosłe osoby to najprawdopodobniej opiekunowie dzieci.

Więcej na ten temat w środku numeru.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.